

BLUSZCZ

Spółecno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 23 MARCA 1929 ROKU

NR. 12

TREŚĆ NUMERU: Detronizacja feminizmu — *Jadwiga Krawczyńska*. O reformie szkoły średniej ogólnokształcącej dla dziewcząt — *Z. Imaszkiewiczowa*. Poezje: Obrazki z miasteczka: „Jarmark”. „Półpoście” — *Felicja Kruszeńska*. „Sol invictus comes” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Skłamane szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Kraków pod śniegiem — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Podobieństwo obcego miasta — *Herminja Naglerowa*. Z życia muzycznego — *P. L. Ś. p. siostra Anna Kobylińska* — *S. P. O.* Z książek — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu — *l. r.* Z kuchnią połową Czerwonego Krzyża — *Jadwiga Kiewnarska*. Książka — przyjaciel człowieka — *L. G.* Święcone — *Pani Elżbieta*. Wskazówki na czasie — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Kostjumy na ulicę — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

DETRONIZACJA FEMINIZMU

Niewdzięczność jest przypadłością ludzką i dotyka spraw wszelakiego rodzaju. Jest zawsze przykra, jeśli odnosi się do osób — bywa pocieszająca, gdy jest odrzuceniem wysłużonej idei i zwrotem, bez oglądania się wstecz, ku nowym widnokrzom.

Dlatego nie piętnujemy czarnej niewdzięczności dzisiejszych kobiet dla feminizmu.

„Dobre to było przed kilkudziesięciu laty, lecz dziś — dajcie nam spokój!” — mówią młode pokolenia.

Któraż studentka, która profesorka, która inżynierka, doktorka, któraż artystka przyzna się do feminizmu? Jaka działaczka, idąca przebojem przez życie, czyni to w imię postulatów feminizmu? Czy może zastępy proletariuszek, pracownice i robotnice, w upojeniu nowym obywatelstwem, wyznają feminizm? Wzruszają ramionami na odgłosy hasła emancypacyjnych.

Czyżby były obojętne na swe prawa polityczne i społeczne stanowisko, na materialne warunki bytu, na ciężary pracy i nierówność płacy zarobkowej? Czyżby zaparły się człowieczego dążenia do wyzwolenia i sprawiedliwości? Do rozwoju i postępu? Oczywiście, nie.

Wzięły, właśnie z feminizmu — swoją odwagę podążania własnymi drogami. Feminizm, w imię ogólnoludzkich przesłanek, walczył o równouprawnienie polityczne kobiety, o pole do pracy w dziedzinie gospodarczej i umysłowej, o wyzwolenie obyczajowe.

Jako motor emancypacji — feminizm polski skończył się wywalczeniem uznania zasad. Przeżył się i znikł. W momencie, gdy zaczął zagrażać zacietrzewionem naśladownictwem mężczyzny, jego —

niezawsze chwalebnych — obyczajów, stracił swą atrakcyjną siłę. Kobiety odrzuciły nawet między sobą nazwę feministek.

Nie znikły jednak, nie straciły znaczenia różne sprawy kobiece, które, ściśle biorąc, są tylko grupą spraw społecznych, związanych z działalnością kobiet. Sprawy kobiece upowszechniły się — i to jest wielki odwrót od feminizmu, zacieśnionego ongi tylko w zwartym kole grup kobiecych.

Dzisiejsza kobieta nie chce być feministką, bo weszła już głęboko w labirynt życia społecznego, bo wie, że musi być, chce, czy nie chce, współtwórczynią wartości powszechnego postępu, i wie, że żadna jej sprawa nie może być obojętna dla całego ogółu.

Sprawy „kobiece” stały się sprawami wspólnymi. Ochrona macierzyństwa, wychowanie dzieci, praca młodocianych, warunki pracy kobiet, walka z prostytutką, uznawane, jako typowe zagadnienia świata kobiecego — interesują równie dobrze mężczyzn, gdyż istotnie nie są sprawami tylko połowy obywateli płci żeńskiej, lecz wchodzą w zakres zadań państwa, samorządów, organizacji społecznych. Mają, lub mieć mogą głęboki oddźwięk w życiu całego narodu, w jego przyszłości obywateli obu płci.

Że stwarzają się tym sposobem korzystniejsze warunki dla wpływu kobiet na życie państwowo-społeczne, nie ulega chyba wątpliwości.

Najdonioślejsze tego dowody mamy na przeróżnych polach pracy zawodowej, oraz w związkach i organizacjach zawodowych, w których kobiety pracują razem z mężczyznami, realizując praktycznie postulaty idealnego feminizmu bez jego starych frazesów.

Tak typowa sprawa naprzykład, jak żłobki fabryczne, była popierana nie tylko przez grupy kobiece: bardzo gorących miała zwolenników i poparcie wśród mężczyzn, gdy równocześnie liczne zastępy kobiet pozostały najzupełniej obojętne wobec tak ważnego dla nich zagadnienia.

W tych warunkach trzymanie się uparcie ekskluzywnego feminizmu byłoby szkodliwym nonsensem.

Ale w imię feminizmu właśnie, odrzuconego, jako przeżytek, atakuje się dziś ze strony różnych grup „ideowych” kobiety nowoczesne czyli „powojenne”. Zresztą z najpłytszego stanowiska. Najgroźniejszym bowiem grzechem, jaki się im zarzuca, jest, iż chcą — jak dawniej, a podobno i więcej — podobać się mężczyznom i używają ku temu najgłupszych, ale niezawodnych środków: mody, stroju i kosmetyki. Jednym słowem, że nic się nie zmieniło, mimo zwycięstwa feminizmu, bo — kobieta pozostała kobietą...

I rzychło patrzeć, aż jakaś grupa polityczna zażąda... odebrania kobietom równouprawnienia. Argumenty wypaczonego feminizmu służą za broń przeciw wyzwolonej kobiecie.

Pretensje do kobiety „powojennej” szerzą się w obłędnych uogólnieniach. Zarzuty, jakoby kobiety zaprzedały swe człowieczeństwo dla dancingu i dekolty, dla pończoch jedwabnych, są najdelikatniejszymi komunałami dnia dzisiejszego. Zdradziły ideały równouprawnienia, bo niektóre są... girlsami, inne smażą po dawnemu konfitury... Są święte i są bandytki. Oto logika.

Jeżeli za „objawy, urągające dokonanej emancypacji” uważa się fakt, iż piękność kobiety podoba się mężczyznom dziś nie mniej, niż w starożytnej Grecji — to jest to tylko frazes publicysty, znakomitego w epoce narodzin feminizmu, a dziś występującego z protestem przeciw kobiecie „powojennej” (zawsze gatunek!!), która rzekomo zdradziła swe feministyczne powołanie...

— Chcesz chodzić na uniwersytet, chcesz być niezależnym, samodzielny człowiekiem — mówiono niegdyś pierwszym bojowniczkom równouprawnienia — musisz być brzydka, zaniedbana, nieelegancka, wyrzec się piękna, wdzięku, podobania się, męża i dzieci. — Niektóre wzięły to na serjo. Skończyło się uzasadnioną nienawiścią wielu pierwszych feministek do rodzaju męskiego wogóle, a zazdrośną pogardą dla kobieciątek ładnych i kochanych.

Lecz ten rodzaj wymuszenia, nacechowany niewątpliwą perfidią, nie trwał długo i chybił celu. Nie drwimy już dziś z emancypantki Prusa...

Jeśli Prus ośmieszył bojownicę równouprawnienia, groteskową zresztą, która okazała się kurą domową i niewolnicą swej ubożuchnej miłości małżeńskiej — to był w zgodzie z ówczesną logiką, która żądała od feministki, by wyrzekła się swych cech kobiecych wzamian za — uczłowieczenie.

(Są do dziś dnia zresztą tacy logicy, wprowadzający celibat urzędniczek i nauczycielek...).

Ale my dziś wcale wstydić się nie możemy za emancypantkę Prusa, korzącą się przed miłością dla mężczyzny. My wszystkie przyznamy jej rację: była sobą, była szczerą, bez snobizmu. Nie poniechała swej kobiecości na rzecz doktrynerskiej pozy!

Codziennie, od wieków, najmądrzejsi mężczyźni klęczą (co nie jest mądre), wielbiąc ukochane kobiety, poniżają się do szkaradnego niewolnictwa wobec gąsek, niewartych jednego zwoju ich mózgu... A jednak nie odsądzamy ich od wartości intelektualnej i społecznej dlatego, że robią, co mogą, by się podobać...

Pozwólmy więc kobiecie wyzwolonej podobać się, zabiegać o swe wdzięki, być piękną! Niech będzie prawdziwą kobietą, niech będzie w domu kurą domową, a w miłości niewolnicą, skoro jest w społeczeństwie człowiekiem. Piękność i miłość nie przynoszą ujmy jej dyplomowi uniwersyteckiemu, jej pracy w aptece i w adwokaturze.

Czy wybijam drzwi otwarte? Chyba nie. Któraż z nas, zawodowo pracujących, nie spotyka się dziś jeszcze ze szczerem zdumieniem wcale zresztą niegłupich ludzi, że nie jest jakimś beznadziejnym czupiradłem, skoro jest... „feministką”...

Kobieta nowoczesna chce żyć, jak człowiek — pełnym życiem i obroni to swoje słuszne prawo. Odniosła korzyści z emancypacji, lecz składa też ofiary, wielkie ofiary osobiste za swe wyzwolenie. A zwłaszcza ta „powojenna”. Wzięła na siebie coraz powszechniej ciężar pracy zarobkowej, odpowiedzialności społecznej i obywatelskiej. Nie odrzuciła równoczesnych obowiązków domowych i rodzinnych. Boleje nad tem, jeśli jej instynkty macierzyńskie hamowane są nieubłaganymi trudnościami ekonomicznymi.

Feminizm spełnił swą rolę, skoro był pomostem do wydobywania z kobiet wszelkiego typu i na wszelkich szerokościach społecznych tak wielkiej sumy działalności i indywidualności, jak to się dzieje u nas, gdzie 40% ludności, pracującej zarobkowo — nie licząc całego obszaru pracy domowej — stanowią kobiety.

Współudział ten, niepozbawiony głębszych wartości, nada zwolna życiu społeczeństwa oraz polityce państwa nowe cechy, wywoła przemiany, które obecnie tylko przewidywać można, jako realizację większego uspołecznienia, sprawiedliwości i pokojowości.

A że feminizm nie zniweczył kobiecości, że obywatelka nie wykreśliła ze swego życia pierwiastków piękna — to może stanowić na przyszłość radosną prognozę, że, spowodowane postępowaniem czasu, odrzucenie feminizmu nie zabije w kobiecie człowieczeństwa, jak tego rzekomo obawiają się oskarżyciele kobiety powojennej.

Jadwiga Krawczyńska.

Z. IWASZKIEWICZOWA

O REFORMIE SZKOŁY ŚREDNIEJ OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ DLA DZIEWCZĄT

I.

Żyjemy w czasie, gdy konieczność reform w wychowaniu i wykształceniu jest uznawana nie tylko przez osamotnionych dotąd psychologów i pedagogów — pionierów nowych idei wychowawczych, lecz już chyba przez wszystkich nauczycieli-wychowawców, a nawet przez szeroki inteligentny ogół obywateli różnych krajów. Każdy naród w walce o nową szkołę, opartą o własne zdrowe tradycje pedagogiczne, uwzględniającą nowe zdobycze psychologii mającą za cel przygotowanie najbardziej pożądanego typu obywatela, stara się na drodze eksperymentu i teoretycznych rozważań wypracować nowe ideały wychowawcze, nowe programy wychowania i nauczania, nowe metody pracy zbiorowej. I u nas słusznie się wzywa, by po doświadczeniach 10-lecia, nie zawsze radosnych, przystąpić do reorganizacji nauczania szkolnego, z którego teraz już nikt nie jest zadowolony: ani nauczyciele szkół średnich, ani profesoria szkół akademickich, ani młodzież, ani społeczeństwo *). Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że nasze dotychczasowe gimnazja są dalekie od doskonałości, lecz rozumiemy równie dobrze, że nie pomogą tu żadne półśrodki, żadne częściowe zarządzenia czy też posunięcia programowe, nie pomoże jednostronna rewizja programu szkoły średniej dla dziewcząt. Współczesne gimnazjum wymaga bowiem poważnych zmian, które muszą być w związku z przeprowadzeniem gruntownej reformy w całokształcie szkolnictwa na wszystkich stopniach nauczania.

I u nas już czynione są próby w kierunku realizacji nowych metod, mamy już nieliczne szkoły lub klasy doświadczalne, ale mają one na celu przeważnie tylko wypróbowanie nowych form pracy szkolnej ucznia i nauczyciela, nie sięgają głębiej. Leży więc przed nami duża praca nie tylko spopularyzowania w Polsce nowych metod wychowania i nauczania i dostosowania ich do naszego charakteru narodowego i systemu szkolnego, lecz jasnego postawienia sobie celu wychowawczego, sprawdzenia wartości głoszonych dotąd haseł, sformułowania nowych tez, wreszcie uzgodnienia programów szkolnych ze wskazaniami nowoczesnej psychologii, pedagogii i dydaktyki, na których winny się opierać. Leży więc przed nami wielkie zadanie i odpowiedzialna praca.

Tem dziwniejsze się wydaje, że w tym momencie niejako na pierwszy plan wysunęła się na gruncie warszawskim sprawa reformy szkoły żeńskiej jedy-

nie. Słusznie zauważył jeden bardzo poważny profesor, zajmujący się psychologią eksperymentalną, a więc zdający sobie dokładnie sprawę z różnic indywidualnych między chłopcem i dziewczyną, z tych różnic, na zasadzie których zwolennicy reformy domagają się jej tak gwałtownie, że kwestja ta w obecnej chwili jest zupełnie nieaktualną, gdyż nikt nie wierzy, aby obecne gimnazjum mogło przetrwać długo w swojej dotychczasowej formie, aby programy nie uległy gruntownej rewizji. Jak daleko sięgnie reforma szkoły średniej, zarówno dla chłopców, jak i dla dziewcząt, w najbliższym czasie, trudno przesądzać; ponieważ jednak wszystkie nowe metody nauczania, już częściowo wprowadzone, dążą do indywidualizowania zdolności i upodobań, ponieważ wszystkie starają się wydobyć z jednostki maksimum samodzielnego wysiłku, więc należy się spodziewać, że w miarę ich przenikania do pracy szkolnej, milknąć będą głosy zwolenników reformy tylko szkoły średniej dla dziewcząt. Przecież młodzież grupować się będzie mogła w zależności od upodobań i uzdolnień pod kierunkiem rozumnych nauczycieli tak, aby wszystkie odrębności psychiczne były należycie uwzględnione, wszystkie siły intelektualne z każdej jednostki wydobyte, uzdolnienia rozwinięte, a specjalne zamiłowania jak najbardziej wyzyskane. Nie stanie się wtedy krzywda, ani chłopcom, ani dziewczętom.

Podział uczniów jedynie według płci, rozróżnienie programów i metod nauczania tylko pod kątem widzenia tych różnic zupełnie nam dziś nie wystarcza i przeciw tak jednostronnie pojętej reformie winni wystąpić wszyscy nauczyciele-pedagodzy, zdający sobie sprawę z braków naszej szkoły średniej. Na niektóre z tych braków chcemy na tem miejscu zwrócić uwagę, gdyż wiele z nich dałoby się usunąć już obecnie.

Może największą wadą współczesnej szkoły średniej jest *niedocenianie strony wychowawczej*. Energetyczne nawoływania do wzmocnienia fizycznej tężyzny młodego pokolenia skierowały uwagę naszą na wychowanie fizyczne, które zajęło w szkole poważne miejsce, wywołując w społeczeństwie nawet niekiedy obawę, by szkoła nie przeceniła ważności sportów. Tak długo nie doceniając znaczenia wychowania fizycznego, potrafiliśmy teraz jednak rozpalic w młodzieży obu płci ambicje zwycięstw w biegu, w skoku, w lekkiej atletyce, w każdym sportowym wyczynie. Lecz zapytajmy, czy jednocześnie rozpalamy w naszej młodzieży także ambicje w zwycię-

*) „Przegląd Pedagogiczny“ Nr 34. Art. wstępny.

stwie nad sobą, nad urabianiem własnego charakteru? Czy żądamy obok siły mięśniowej nie mniejszej mocy ducha?

Czy wytrzymałość na niewygodę w namiocie harcerskim lub w obozie przysposobienia wojskowego idzie w parze z takim samym opanowywaniem się w życiu codziennym? Niestety, nie. I tu w stosunku do dziewcząt grzeszymy może jeszcze więcej, niż w stosunku do chłopców. Od chłopców wymagamy w szkole więcej karności i hartu. W szkołach żeńskich panuje często jeszcze dotąd jakiś nienaturalny sentymentalizm, nadmierna tkliwość, traktowanie każdej uczennicy, jako istoty słabej, niezaradnej, prawie że nerwowo chorej, unikanie każdej uwagi, pocieszanie przy każdej złej ocenie, choćby była tylko konsekwencją lenistwa, tolerowanie lekceważenia swoich obowiązków, łez i kaprysów. Nic więc dziwnego, że często ta sama dziewczynka, która potrafi chodzić w Tatrach po klamrach, skakać o tyczce, walczyć na morzu z burzliwą falą, przy odpowiedziach w szkole, a już tembardziej przy zdawaniu egzaminów, nie potrafi opanować swoich nerwów i zanosi się od płaczu.

Pragniemy, by w szkołach średnich zwrócono większą uwagę na wychowanie dzielnych, zahartowanych do walki z życiem, ludzi, a szczególnie domagamy się tego w szkołach żeńskich.

Życie ogółu kobiet jest bowiem o wiele trudniejsze, niż życie mężczyzn. Konieczność godzenia obowiązków zawodowych z obowiązkami matki i gospodyni domu wymaga od niej wielkiego wyrobienia woli i mocy charakteru: jej wychowawcza misja w stosunku do własnych dzieci nie pozwala lekceważyć braków wychowania u niej samej. Musimy więc wymagać od szkoły, by ją do tych zadań przez odpowiednie wychowanie przygotowała. Najlepsza znajomość higieny i pedagogiki nie zastąpi przyszłej matce walorów wyrobionego charakteru. Nie znaczy to, byśmy się przeciwstawiali wprowadzeniu tych przedmiotów do programów szkolnych, dałoby się to zresztą uczynić bez wprowadzania zmian, czy redukcji w programie nauk innych przedmiotów. Jeśli chłopcy w wyższych klasach gimnazjów mogą poświęcać po kilka godzin tygodniowo na przeszkolenie wojskowe i nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby z tego względu zredukować dla nich program matematyki lub łaciny, to dla czegożby ta sama ilość godzin nie mogła być przez dziewczęta poświęcona nauce higieny niemowlęcia, czy wykładom naukowej organizacji gospodarstwa domowego. W wielu bardzo szkołach żeńskich na jeden dzień w tygodniu nie są zadawane lekcje i jedno popołudnie poświęca się zajęciom pozaszkolnym. Czy nie byłoby korzystne, aby nasze dziewczęta zamiast uczyć się modnych robót, batikowania czy liworyzowania, których za parę lat już napewno wykonywać nie będą, spędziły te godziny na praktycznych zajęciach, mogących im się bardziej przydać w przyszłym życiu; niechby się uczyły praktycznie obchodzenia z niemowlęciem, pie-

legniarstwa czy gotowania, jeżeli to jest konieczne do spełnienia należycie roli żony i matki. Co zaś do nauki psychologii i pedagogiki, to wydaje nam się równie racjonalne wprowadzenie tych przedmiotów do programów wszystkich szkół średnich. Jeśli bowiem chodzi o użyteczne cele nauki psychologii, to ma ona nie tylko ułatwiać zrozumienie i wychowanie dziecka, ale także zrozumienie innych ludzi oraz przez nauczanie umiejętnej introspekcji samowychowanie jednostki. Ilekroć to razy zabiegi wychowawcze matki są paraliżowane przez nieodpowiedni stosunek ojca do dzieci. Wiemy wprawdzie, że teoretyczna znajomość psychologii i pedagogiki nie zawsze strzeże od bardzo poważnych błędów w praktyce wychowawczej, czy to w stosunku do dzieci, czy do jakiejś grupy społecznej, ale jeśli wierzymy, że w pewnych wypadkach może im zapobiec, to w takim razie domagamy się dawania tych niezbędnych wiadomości zarówno dziewczętom — przyszłym matkom, nauczycielkom, lekarkom, inspektorom fabrycznym i t. p. jak i chłopcom, wśród których będzie nie tylko wielu ojców, ale i lekarzy, sędziów, księży, inspektorów więzień, oficerów, mających pod swoimi rozkazami liczne życie, nauczycieli, profesorów, przywódców stronnictw politycznych, dyrektorów wielkich przedsiębiorstw, czy choćby tylko kierowników biur czy warsztatów, liczących po kilkunastu ludzi.

Jeszcze jedno bardzo ważne zadanie wychowawcze jest przez obecną szkołę średnią zapoznane. Mam tu na myśli wychowanie obywatelskie. Złożoność i wielostronność obecnej naszej kultury sprawia, że nowoczesnemu obywatelowi nie wystarczają już same tylko instynkty społeczne i zjawia się potrzeba spotęgowania odpowiedzialności obywatelskiej i lojalności wobec kultury narodowej. Zmieniło się całkowicie stanowisko jednostki w życiu państwowym wskutek nowoczesnego ustroju demokratycznego, gdy odpowiedzialność za przebieg życia politycznego spada na barki każdego poszczególnego obywatela. Chodzi już nie tylko o przystosowanie się do życia w społeczeństwie, ale i o samodzielny udział każdej jednostki w urzędzeniu ludzkiej społeczności.

Możemy się wprawdzie zgodzić z Försterem, że „prawdziwa kultura obywatelska jest ostatecznym owocem głębokiej kultury moralnej, a prawdziwe sumienie obywatelskie rodzi się z głębi charakteru ludzkiego“, ale to nie zwalnia szkoły od specjalnego zwrócenia uwagi w wychowaniu na te cechy charakteru, które w pierwszym rzędzie winien posiadać dobry obywatel, np. na wyrobienie „obyczajności społecznych“ (Förster) na tak dziś rzadki obowiązek tego, co analizy nazywają „politycznym gentelmannizmem“, na zwalczanie szkodliwego cynizmu, nie pozwalającego podporządkować się pod ład ogólny i t. p. Pamiętajmy bowiem także twierdzenie drugiego wielkiego pedagoga Kerschensteinera, że „droga do obywatela świata prowadzi przez obywatela państwa“.

FELICJA KRUSZEWSKA

OBRAZKI Z MIASTECZKA

J A R M A R K

Mały bury osiołek, znudzony bezruchem,
zagląda do pstrych kurek, śpiących w głębi klatek.
Próżno chce plamkę słońca strzepnąć długim uchem:
słońce jest dziś dla wszystkich, darmo — na dodatek.
Oto jest tęcza w pęczkach — poprostu krawaty.
Szał jakrawych kolorów — oczywiście, szale!
Kwiaty w białych fartuchach i fartuchy w kwiatach,
sałata, jedwab, nici, rzodkiewki, korale.
Upudrowane figi, obok daktyl złoty
i banany, jak sznurek zermiany różanec,
czerwone pantofelki i żółte saboty
do klaskania po bruku, do biegu, do tańca!
Fouillez, messieurs — dames, fouillez!

A dalej o sto kroków — kupujcie! Towary!
Za jeden głębszy oddech, za otwarcie oczu!
Oto błękit bez plamki — miara: na bezmiary!
Oto perły kosmate w wierzbowym markoczu.
Oto jest zapach ziemi, a to zapach smoly,
tu głośny śmiech wróble, tam daleki dzwonek,
zielona igła trawy i trzy pierwsze pszczoły
i radosny, skrzydlaty dźwięk w górze: skomronek.
Wzgórza rdzawobrunatne, pył srebrny nad rzeką,
winna zielona moda (a w niej nie masz winy),
droga biała i kręta na miarę: daleko!
młode gęste zarośla i puszyste trzcinę —
Fouillez, m'sieur le Vent, fouillez...

PÓŁPOŚCIĘ

Napełnimy roziskrzony bulwary
krzykiem, śmiechem i nóg małych tupotem.
Będziemy wszyscy do pary,
jak niebo z słonecznym złotem.
M'selle Germaine to królowa, jak widać z ubrania
i we włosach i w rzesach ma gwiazdy.
Więc Pierre rycerz już zerka i z rumaka się kłania
i zaprasza ze sobą do jazdy.
M'selle Germaine to królowa, jak widać z ubrania,
(a pod maską śmieje się obludnie),
M'sieur Jean ma lzy w oczach: zgubił z piersi księżyc,
a miał być nocą w południe!

M'selle Ibone po srebrzystym przebiegła księżycu
z motylim prześlicznym gestem
(jak confetti, które miatr goni ulicą
i przesypuje z szelestem).
M'selle Susanne znów się boi, że miatr się omyli,
że ją porwie, jak bielutki puszek,
więc ze strachu daje mamie w tej chwili
jeden różowy paluszek.
Witamy obcych gości,
bawcie się, jak kto umie.
Uśmiech zna jeden język, to język radości
i każdy go zrozumie.



ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

1)

„SOL INVICTUS COMES“

Z cyklu „Hestja“

— ...Ryby... jak pawie, mistrzu-u.

— Z ogonami, ze skrzydłami szmaragdowymi... w oka wielkie, szafirowo - złote... klejnotne ryby, królewskie, w rzece Hyphasos... w indyjskiej rzece... za morzami, za górami ryby latające... Nad falę wyskakują, bywa, człowieka wyżej, na blask.. Pozdrowią słońce, przelśnią, migną, bryźnie po nich białotęczowa piana... i już.

— A kwiaty tam są duże?

Uniesie ku starcowi ócz kwiatowych, dużych pięciolatek w giezleczku jasnym, biały i różowy, i rudokędzierzawy. Germanki syn.

— Ogromne. — Idziesz... kwiat ci zawali ścieżkę trudną ciałem płatów ciężkich korony... potężnej, jak gniazdo sępa... i padłem zięjącej, jak sępów dom. Zły kwiat. — Wzdrygnie się mistrz, oczy od wspomnień ku zagrodzie mlekiem i miodem płynącej obróci. —

A tam już w progu zagrody jasna pani, w błękicie szat, śmiejąca się dziecięciem jednym jeszcze u fałdów odzieży, które idzie, baczne, miską cynową lśniąca, wiszniami - kroplami, krwawemi blasku... włosów cyną — i drugim najjaśniejszym dzieciątkiem u łona śmiejąca się jeszcze — i jeszcze... błękitem wezbrane ma łono i weselem. Germanka hoża, mocna, radości pełna.

— Mistrzu Serapjonie! mistrzu Serapjonie... — zagrucha gołębiom do wtóru, białotęczowych piór bajką, co porwą się — załśnią, migną — bryzną słońcu pozdrowieniem: na strzesze ostoi się fala. I już. —

— Mistrzu Serapjonie! poczęstunek przynosi ci Carinus — ostrożnie, ostrożnie Caro! — Postaw te wisienki na ławce. — I już. — Zaśmieją się matka i syn. —

Od warsztatu dochodzi dzwon równy, mocny, radości pełen owocnego tworzenia, dzwon młota kolarskiego w miedź, cynę, w blask. —

— Pracuje Larg. Zuch! — zaśmiej się jeszcze kobieta. —

Dmuchnie wiatr od morza; pełen lipowego pyłu złotego jednej chwili stał się; pełen zapachu szczęścia.

— A tu mój Chryzogonek wciąż mistrza pytaniami zanudza o krańce świata, co? — do pięciolatka obróci się. —

— Bo tam są lasy, gdzie kwitną ogromne zle owoce... A nie wszędzie można wejść... bo serca puszczy strzegą węzorek białe słonie... i jednorożce przechadzają się po mchu... po liściach... po chróstowiu... chrup - chrup! i patrzą mrocznemi oczyma... a na kogo spojrzą raz — ojczyzny swej zapomni i bę-

dzie chodził całe życie dokoła i dokoła, ku sercu puszczy... myśląc, że dojdzie — i już, już je słyszy wraz... jak bije serce puszczy: puk-puk... puk-puk... co raz głośniej, w raz goręcej, w raz bliżej... bije... A to tylko własne serce. Bliżej co raz... temu, który wędruje. —

Niezadowolonia cień przemknie po licu Germanki osiadłej; pani zagrody bogatej. Cień po błękicie. —

— E, takie bajki wynajdujesz zawsze, mistrzu Serapjonie! — zaśmiej się. — Weźże tych wiszenek! A naści chłopczyku! na! — w garstki dwu starszym matka rada.

A szczerwienie słońce już na cynowych przegubach misy, niemniej na przegubach kędziorków; obłokiem zachodu pali się głowa stara mistrza i broda prorocka.

Ustał dzwon od warsztatów.

Larg z czeladzią wyroją się.

Po trawie, pod lipami wieczera rozgwarzy się, skromna razem i dostatnia — bo wszyscy wbród mają chleba, mleczywa, jarzyn, owocu i ryby: — panowie tych miejsc oraz i słudzy. —

— Serapjonowi buraków nie dawaj! nie wiesz, — toć jada tylko boćwinę, że nad ziemię rośnie... no, nie wiesz-że... — I z chichotem jedna trąci drugą służebna, z rąk wyrrywając miseczkę...

— Wiem jeno, że ryby nie jada... iż w wodę ryba nurza się ciężko... — ruszy owa ramionami, na mistrza zerkając pobjazaniem dobrodusznym. —

— Skowronki by, pewnie, rado schrastał... iż najwyżej ku słońcu latają... jemu, że stary, chudzina — sto lat mu z ekładem, ponoć... a zadziwi się temu nie po raz pierwszy, a pożałuje...

Tamta zaś ku Serapjonowi z potrawą nową przyskoczy. —

— Mistrzu, najmłodsze to strąki — co najwyżej ku słońcu się wspinały — zapłoni się w tem pod wejściem zdaleka idącym, bijącym, jak promieni snop okienicą głuchą, cienką.

— Światłość z tobą, córko — zatonał snąć w blasku maluczki ów cień drwinki: jakżeby z takimi oczami gorycz mieć świata w odpowiedź. — Wisznie jadłem. Dość staremu. — A jakże ci się dziś len cesał, powiedz. — Bo różne są lny po świecie... Błękitne tu, na pobrzeżach wysp italskich... W Pamfilji zaś, ojczyźnie ciała mego, śniegiem kwitną... Nie dziw, gdy indziej byłyby różane, też złote... A jakżeby najmilsze były oczom waszym... powiedzże —

Zastrachają się zapytaniem nagle, wsłuchane

w słowo - pieśń o kolorowych dziwnych tych lnach — co być mogą.

— ...To, co w ojczyźnie, najmiłsze oku i sercu — odważnie wypowie tchem jednym ta od groszku.

— A przeto mi też złote lny miłe — uśmiechnie się Serapjon myślom własnym. W Ojcie Nasz zaśłucha się, którem dary i domostwo jego żegnają dzień odchodzący oraz i pieśnią ambrozjańską wieczorną.

*O Boże, Stwórco wszechrzeczy, niebios Władko,
zdobiący
Czas dnia światłością nadobną, snu łaską ciemny
czas nocy —*

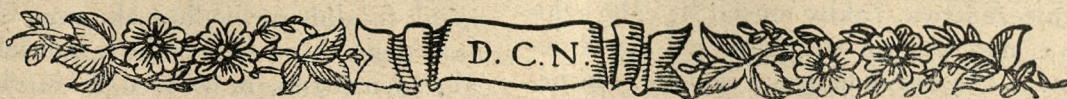
Poczem uciszał się zwolna gwar pełny, szumny pory zabiegów skrętnych, rwanych tam — owdzie tłoczny rytmem krótki, czyli też wytryskiem radości nagłych nad wydarzonym dziełem, któremu żywot od trosk tych wszystkich dłuższy niewiele. —

Nie śpieszno wszelako schodziła na domostwa gwar cichnący łaska snu. —

Odda się Serapjon fali tej wezbranej szmerów i poszeptów rojowiska: za próg jej jeno tajny duszy swej nie puści, za którym co Wieczne wszystko, białe i milczące przedświtem — czy dzień czyli noc na dworzu. —

Dźwięczy rój kolorowy... jakoby denarów po-brzęk, pilno licznych: miedź, miedź, srebro wesołe, drobne, lekkie... Ziarnko do ziarnka. — A tam jakoby wzdychanie potłumione... pocałunków szmer srebrny — wesołych, lekkich: drobiazg to, zdawkowy grosz. Byt człowieczy.

Z obór jeszcze rum dojdzie racie o bale... Przeżuwanie spodem szmer i chrup twardy, rozgłośny, bezustanny. Łopot skrzydeł i zgłębienie krótki kokoszy zwycięskiej na grzędzie. Targnie łańcuchem pies. Wnet go spuszcza. —



M. H. SZPYRKÓWNA

9)

SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

Cała cierpię, i staje mi się wszystko obojętne, nawet gniew Oskara, którego naogół się boję, jak mały piesek groźby. Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że siedzimy w żółtym salonie, w domu samejże ciotki Gertrudy. Jednak, meble są inne i pozmieniano ich ustawienie. Któżby ważył się to uczynić? Biedna ciotka! tak surowo pilnowała, aby żaden drobiazg w pokojach jej męża nie był ustawiony inaczej, niż za jego życia! Ale wszystko jedno: tam, za portjerą, są małe schodki na górę, wprost do mego dawnego pokoju. Przypuszczam, że nic się w nim nie zmieniło; w domu ciotki latami stało wszystko nienaruszone. Poszłabym i położyła się na godzinkę na moim dawnym, panieńskim łóżku! Nikogoby nie było, niktby mnie nie męczył, i może — może wogóle wszystko to się tylko zdaje i niema nic naprawdę, z tego, co jest? Może nie wyjeżdżałam wcale z leśniczówki i zaraz babunia otworzy do mnie na górkę drzwi i powie:

— A cóż to moja pocieszka jeszcze śpi? A wstyd! Ósma godzina, Marcinowa już dwa razy nosiła indycętom; a kto to obiecywał, że sam dziś posieka żółtko i nakarmi małe?! Masz tu mleczka, zanim co!

Nagle, na wspomnienie wszystkiego słonecznego i kochanego, co miałam i co straciłam, chwytła mnie

za gardło tak straszliwy skurcz żalu i przerażenia, że zasłaniałam twarz dłońmi i ku rozpaczce tej cząstki świadomości, która jeszcze jest we mnie świadoma, słyszę własny, zbiedzony, przerywany szlochem, jak u przestraszonego i chorego dziecka, głos, w niczem do mego zwykłego głosu niepodobny:

— Ja... chcę stąd pójść, ja nie chcę tu być! Tu są wszyscy obcy, tu... nikt mnie nie potrzebuje naprawdę!... Babuniu! Babuniu, dlaczego odjechałam w świat?

Od strony grupy Lory usłyszałam coś, jak stłumiony śmiech. Robi się zamieszanie. Rejent przerywa lekturę. Ale już Oskar mnie wyprowadza z pokoju. W sąsiednim małym saloniku otaczają nas osoby.

— Kuzynka źle się czuje!... — mówi do mnie, kresowym sposobem, jakiś młodzieniec w angielu. — Trzebaby lekarza, soli... Zapewne, uciążliwa droga...

Mąż odpowiada i rozmawia. Nie rozumiem prawie nic. Słyszę tylko, że ktoś musi zostać, żeby reprezentować moją osobę, jako figurującą w testamencie, a ktoś ma mnie odwiedzić do hotelu, żebym się już nie męczyła dłużej na nudnej i długiej ceremonii. Żegnałam się, jechałam z czarną zakonnica, i wreszcie — o szczęście!... — byłam w łóżku, rozebrana z niewygodnej sukni i obuwia. Błada siostra podawała mi

herbatę i mówiła szczególnym, matowym głosem, jak drewniane paciorki, przesuwane równomiernie w paciorku:

— Pani nie powinna niczem się denerwować, pani powinna być spokojna, bo dzieciątku to może zaszkodzić. Wszystko jest w ręce boskiej. Trzeba zaufać Panu, a On już nie opuści duszy, która do niego się wleka. Czy może pani baronowa życzy sobie jeszcze czegoś? Najlepiej usnąć, a ja usiądę przy oknie i będę czuwała, zanim pan baron nadejdzie. Pewnie niezadługo już to się wszystko skończy. Dobroczynna była osoba, nieboszczka ciotunia pani baronowej, niech Bóg jej da pokój wieczny! I o naszej kongregacji nie zapomniła...

* * *

Kiedy usnęłam — nie wiem. Kiedy się obudziłam — także nie wiem. Wiem tylko, że obudziło mnie poczucie niewysłowionej grozy, jakgdyby bezpośredniego niebezpieczeństwa. Takby musiał się czuć człowiek wrażliwy, nad którym stoi morderca z podniesionym sztyletem. Otworzyłam oczy i szybko zamknęłam je zpowrotem. Przedemną stał mój mąż.

Takiej twarzy w życiu poraz drugi nie widziałam. To nie był jeden sztylet: to były dwa noże, dwie żmije, dwa żądła nienawiści, dwa piekła, które ziały ku mnie z bliskich, strasznych i morderczych oczu. Był zielony. W rękę trzymał coś ciężkiego, jak duża księga. Na mój oniemiały zapewne z przerażenia wzrok, podniósł nagle ów przedmiot w górę wściekłym zamachem, jakgdyby miał mi nim rzucić w głowę. Krzyknęłam i zasłoniłam się odruchowo dłońmi. Zmełł w zębach jakieś przekleństwo i cisnął mi ją na łóżko, tak że uderzyła mnie w nogę. Krzyknęłam poraz drugi, na ten raz z bólu, i wyskoczyłam z łóżka, usiłując przemknąć obok niego, ku oknu, przy którym siedziała zakonnica. Niestety! Już ją musiał wyprawić. Skuliłam się w portjerze i przerażonemi oczyma patrzyłam nieruchomo na niego. Stał, skurczony, jak do skoku, i wszystkie mięśnie miał jakby napięte nienawiścią.

— Masz... twój spadek!... Masz... twój posag!... — wychrypiał wreszcie zduszonym przez pasję głosem, który siekł, jak bicz. — Doczekałem się! Wygrałem wielki los! Byłe służącej, byłe klechom pozapisywała majątki, a tej, a tej... Czy wiesz, co ci ta histeryczka zapisała w spadku? Nie? Nie?!

To! Album ze swemi papugami, rozumiesz?... Al-bum z pa-pu-ga-mi!!!... Mając miljon w gotówce i pałac, który darowała ciepłą ręką tej... tej...

Brutalne słowo padło, jak zlepek błota. Skurczyłam się, niczem od cięcia szpicrutą w twarz. Tak mówił o Lorze, z którą kiedyś flirtował! Której długo

nie decydował się zamienić na mnie? I wogóle — co to wszystko jest?

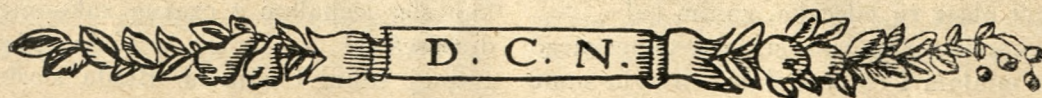
Wyjął z kieszeni zakietu kopertę i jakąś drobną paczkę i cisnął na stół przedemną. Mimowoli wyciągnęłam rękę.

— Możesz się ucieszyć pamięcią najdroższej opiekunki! Żeby... Żeby być taką idiotką, to przecież przechodzi pojęcie! Cielę na rzeź!

Pismo było ciotki Gertrudy. Rozdarłam kopertę.

— Dużo mówić nie lubię!... — zaczynał się list. — Co tu zreszta gadać! Umieram już od tygodnia, i tylko patrzeć, jak dojdę. Piszę zawczasu, dopóki sama potrafię. Trzeba jeszcze wszystkich poobdzielać, bo każdy mi w ręce patrzy i liczy, wiele mu się opłaci wylać. O ciebie, dzięki Bogu, troszczyć się nie potrzebuję: Lora mi wspominała, jak wam się świetnie wiedzie i że twój mąż dostał wreszcie ten węgierski spadek. Podobno będziecie magnatami. To i lepiej. Pewnie trochę przesadza, jak to ona, a może dlatego, że im się tak fatalnie powiodło z akcjami. Ostatecznie, niech mają dom, skoro własny będą musieli sprzedać. Rzucała pieniędzmi, a teraz u mnie chodzi przez dwa miesiące w jednym kapeluszu i dwóch sukienkach, aż jej musiałam sprawić to i owo. Fortuna kołem się toczy. Majątek zapisuję na księży misjonarzy, a reszta — to drobne legaty po kilkanaście tysięcy, niema o czem mówić.

Ale zato, kochana Ameto, mam i ja do ciebie prośbę. Nie wymawiając, przezemnie, dzięki zamążpójściu, z zaściankowej szlachcianeczki zostałaś baronową i magnatką. Bardzo się z tego cieszę, ale zróbże i ty dla mnie coś. Charakter miałaś porywczy, ale serce nienajgorsze, nienajgorsze. A komu dziś można wierzyć? Ludzie bezinteresowni wymarli już w moim dzieciństwie; a było to, nie wypominając, temu około siedemdziesięciu lat. To ci chcę powiedzieć: zapiekuj się memi sierotkami! Psy mają dożywocie w Opiece nad Zwierzętami: zawarowałam prawnie. Markiz nie pociągnie długo po mnie: ktoby mu gotował suchary w czekoladzie tak, jak lubi rano? Jeżeli mu dać z kakao, warczy, odchodzi na poduszkę i — możesz mi wierzyć, albo nie — płacze z obrazy. Wiesz, jaki był zawsze obraźliwy! Więc dopilnuje go czas jakiś po mojej śmierci Dominika, której na ten cel zawczasu kazałam wynająć dla niej i Markiza odpowiednie mieszkanko, bo z Lorą chyba się nie zgodzą: tylko ja znosiłam humory tej pocziwej Dominiki, która zawsze mi zdzieriała z włosów koronkę po tygodniu noszenia, pod pretekstem, że się drze, i podobno sprzedawała tej żydówce z parteru za dobre pieniądze (bo, jak wiesz, nie umiem nosić rzeczy podrabianych, poza sztucznymi zębami, które mi świetnie służą).



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

KRAKÓW POD ŚNIEGIEM

(*Włoski renesans w zaspach północy. Krakowiacy na rynku i w teatrze. „Niespodzianka i Mezaljans”.
 Pałac Sztuki i „Sto lat malarstwa polskiego”).*

Kiedy Erenburgowi, autorowi Jurija Jurenity, pokazano Kraków i spytano go, jakie sprawił na nim wrażenie, ten odpowiedział:

— To połączenie architektury włoskiej z północnym śniegiem jest poprostu przedziwne.

Tak się wyraził człowiek, patrzący na Kraków chłodnym okiem cudzoziemca, człowiek, głuchy na jego historyczne tradycje, przemawiające do nas spiżowym głosem przeszłości, obcy, kto wie, czy nawet nie wrogi ideologicznie i rasowo kulturze łacińskiej. I może dlatego, że oczy jego niezaćmione były bielmem najłżejszego sentymentu, on właśnie najtrafniej wybrał klucz zainteresowania, jakie wzbudzić może Kraków wśród cudzoziemskich turystów.

Włoski renesans, rozkwitający niespodzianie na północnych stokach Karpat w zaraniu w. XVI, t. j. w chwili, gdy w takim Wiedniu, na przykład, wszechwładnie jeszcze panuje styl ostrołukowy, — ten włoski renesans wygląda tu również egzotycznie, jak ponury normański gotyk, przeniesiony pod szafirowe

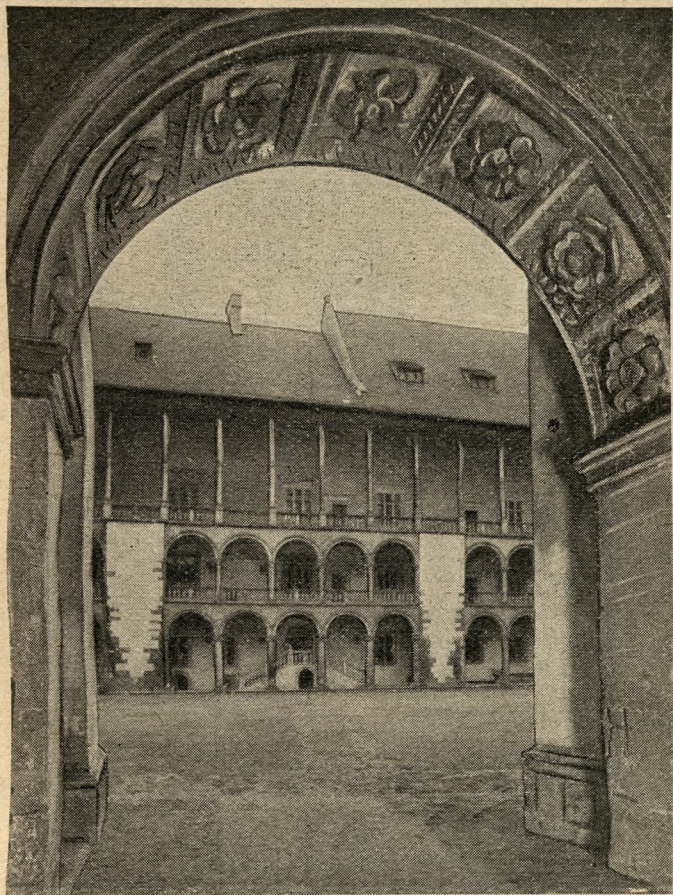
niebo i wiecznie zielone palmy Sycylii — czarna perła, zagubiona w złotej muszli Palerma.

Kraków pod śniegiem, to czarodziejska bajka, którą szczerńnię kamienie opowiadają białym puchem, — czarno - biała autoligrafja zimy i architektury, zrodzona z miłosnego uścisku tych dwojga, pozornie tak bardzo chłodnych kochanków... Ale to się dzieje tylko w dniu pochmurne, zwłaszcza o zmierzchu. Bo w słońcu nawet i zimą cały Rynek gra kolorami: brunatną czerwienią wieżyc Marjackich, płowem cielskiem Sukiennic, rozwalonych na środku placu, jak juczne zwierzę, dyszące po długiej podróży, grynszpanem dachów i kopuł, zieleniejących, jak leśne pagórki.

A jeśli przytrafi się dzień targowy, to, poprzędzana zapachem siana i razowca, wieś czyni najazd barw na szary śnieg uliczny. Na Kleparzu aż pstro od koni i furmanek, na Placu Szczepańskim, na Małym Rynku od bab i przekupek. Rozsiadły się babiny, każda w ciemnym okółu chust i kiecek, przed każdą pęczek słomy, niby splechetek skrzętnie za pazuchą przechowanego słońca, a na słomie wiązka cebul, jaj kilkoro, garstka jabłuszek, tłusty język sera. Najdородniejsza cebula, najbardziej rumiane jabłko, burak najczerwieńszy tryska niewyczerpanym sokiem słów zza kraciastej chusty: to swarliwa gębusia władczyni tych skarbów...

Żeby nacieszyć oczy tęczą wstęg, spódnic kwiecistych, pasów i ferezyj, trzeba już dziś iść do teatru, na „Krakowiaków i górali”, wznowionych w ciekawie pomyślanej inscenizacji dyrektora Nowakowskiego z okazji dziesięciolecia Niepodległości. Stara, naiwna sztuka, dzięki aktualnemu prologowi i umiejętnie zastosowanym wkładkom, przerodziła się w reprezentacyjny spektakl, ruchliwą krakowską wycinankę, zaprawioną patryjotycznym sentymentem. Byłam na 45-em przedstawieniu, w niedzielę popołudniu. Teatr nabit publicznością świąteczną, tą z przedmieść i wsi podkrakowskiej. „Ci ludzie już od godziny drugiej czekają pod teatrem, bo nie są pewni swych miejsc”, powiada dyrektor Nowakowski. Kurtyna idzie w górę. Mała krakowianka podnosi wieko malowanej skrzyni, z której wychodzą osoby dramatu. Tak się zaczyna prolog. Uwaga widowni trwa w napięciu przez cały czas przedstawienia. Kontakt między sceną a widzami bardzo żywy.

Skoro już mowa o teatrze, nie można przemilczeć „Niespodzianki” Karola Huberta Rostworowskiego, odznaczonej pierwszą nagrodą na konkursie teatru im. Słowackiego. Jakieś tajemnicze powikła-



Widok z bramy renesansowej na podwórzec wawelski.
 Brama z r. 1505.



Scena z „Niespodzianki” Karola - Huberta Rostworowskiego.
Osoby od lewej do prawej: Zośka—Marja Bernacka, Franek—
Bronisław Dąbrowski, Ojciec — Józef Sosnowski, Matka —
Helena Hałacińska

nia w sądzie konkursowym wywołały skandal, od którego przez parę tygodni trzęsła się cała polska prasa literacka. Nie będziemy tu wracać do tej pożałowania godnej sprawy. Rzuca ona i tak dosyć smutne światło na stosunki krakowskie.

A „Niespodzianka” jest dziełem pierwszorzędem. Ta chłopska realistyczna tragedia tłoczy wrażliwość widza ciężarem ślepego fatum, które ją spokrewnia z greckim teatrem. Odwrócona sytuacja Edypa: nie syn ojca, ale rodzice syna mordują przez omyłkę. A przy niesłychanej grozie tematu, ileż rozmysłu i umiaru artystycznego w jego opracowaniu i rozwinięciu. Widownia drży oczekiwaniem mordu, a zbrodni samej nie widzi. Siekiera w ręku matki, czyhającej na śpiącą ofiarę, a potem obrzędowe niemal szorowanie zakrwawionego stołu i podłogi, oto jedyne widome znaki zabójstwa. Przypadkowe skojarzenie ze zjawą Szeli w „Weselu”: „Dajcie, kumie, kubel wody, — ręce myć, chusty prać!” — Mistrzowskie ujęcie roli ojca przez Sosnowskiego zacierá różnice między prawdą życia, a prawdą artyzmu: wyzwala z flegmatycznego chłopca człowieka wiecznego.

Sztuka, pomimo swej ponurej głębi, w ciągu całego tygodnia zapełniała teatr. Jest to tem bardziej zastanawiające, że, jak nas zapewnia dyrektor Nowakowski, Kraków nie lubi chłopca na scenie, — toleruje go łaskawie w „Weselu” Wyspiańskiego, u Żegadłowicza już go nie znosi.

Bezpośrednio po „Niespodziance” dano „Mezalljans” Bernarda Shaw pod zmienionym tytułem: „Rodzice i dzieci”. Sztuka przedwojenna, jak o tem świadczą niezawsze szczęśliwe dowcipy na temat Polski, ale przypadkowo aktualną dzięki wprowadzeniu postaci rekordzistki polskiej, Liny Szczepanowskiej, co w okresie polskich zwycięstw olimpijskich nadaje jej ostry posmak współczesności. „Należę do

rodziny, której przedstawiciele od stu pięćdziesięciu lat codziennie narażają swoje życie”, oznajmia Lina, spadłszy w sam środek burżuazyjnej familji angielskiej wskutek karkołomnej wyprawy lotniczej. Chwila zdumienia. A więc to jakiś ród bohaterów, konspiratorów, bojowników za wolność. Nic podobnego. Panna Lina jest poprostu... linoskoczka. Tężyzna cielska łączy się w niej jednak z uderzającym zdrowiem moralnem i poczuciem godności osobistej. Zalecających się do niej mężczyzn radykalnie leczy z erotycznych zachcianek... ćwiczeniami w sali gimnastycznej. Podstarzały lowelas, albo plakiwy żółtodziób po godzinnych torturach na drążku i trapezie tracą wszelką ochotę do bliższej znajomości z muskularną polką.

— Ach! jak ta wasza Anglja jest strupieszala! nie was nie interesuje, oprócz miłości, — wzdycha nowoczesna amazonka, nie widząc w sentymentalnym Albjonie godnego siebie rycerza.

To zdanie nieświadomym sarkazmem godzi w nasz przyrodzony snobizm, bo to przecież my, polacy, przeciwstawiamy zawsze naszą słowiańską ckliwość angielskiej tężyźnie. Tymczasem Shaw za wzór swym rodakom stawia jakąś Konopacką w karykaturze. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

Od teatru przerzucmy się do sztuk plastycznych. Tym przecież Kraków tradycyjnie przoduje. Przeżywał jednak i on swoje czasy marazmu. Po piwnicach Pałacu Sztuki gnily obrazy i pleśnią porastały rzeźby. Senne zaniedbanie było stałym, a prawie, że jedynym gościem sal wystawowych. Towarzy-



Scena z „Mezalljansu” — Shaw

stwu Przyjaciół Sztuk Pięknych groziło bankructwo i zagłada. Dzisiaj ta sprawa radykalnie się zmieniła dzięki sprężystości i energii dwóch ludzi: prezesa Towarzystwa, profesora Akademii Sztuk Pięknych, Władysława Jarockiego i dyrektora Artura Schrödera, znanego estety. Artysta malarz i teoretyk sztuki ujawnili wybitny zmysł organizacyjny. A oto garść cyfr.

— Kiedyśmy obejmowali Pałac Sztuki, — mówi dyrektor Schröder, — zastaliśmy w kasie 13 groszy. W ciągu ubiegłego roku zrobiliśmy obrót 200.000 złotych. Dzieł sztuki sprzedaliśmy za 40.000. Co trzy tygodnie zmieniamy wystawy. Zwiedziło je w ciągu roku 68.386 osób. Na sam grudzień przypada 10.000. Wraz z frekwencją wzrosło zaufanie społeczeństwa. Mamy obecnie blisko 2000 członków, to znaczy tylko o 374 mniej, niż warszawska Zachęta. A co listów

otrzymujemy z prowincji z prośbą o ocenę przy zakupie dzieł sztuki!

Najbliższą naszą imprezą artystyczną na większą skalę, jest wystawa „Sto lat malarstwa polskiego“, która ukaże szerokiej publiczności pierwszorzędne dzieła, dostępne dotychczas tylko garstce prywatnych posiadaczy. Taki np. „Iwan Groźny“ Matejki, nieznane prace Rodakowskiego, Orłowskiego, Michałowskiego i innych. Otwarcie wystawy nastąpi w pierwszej połowie kwietnia. Myślimy też poważnie o rozbudowie Pałacu Sztuki. Mamy już plan gotowy, opracowany przez prof. Szyszko - Bohusza. Miasto daje nam kawał placu Szczepańskiego pod budowę. Jeśli projekty nasze się urzeczywistnią, będziemy mieli największą salę wystawową w Polsce. Ale nato trzeba pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy, nie tylko od społeczeństwa, ale i od rządu....



HERMINJA NAGLEROWA

PODOBIENSTWO OBCEGO MIASTA

Pociąg przystaje, dygocąc na szynach, a komin lokomotywy wydycha swój ostatni śpiew, niby konający czarny łabędź, albo tenor umierający z przeciągiem „cis“, przytrzymywanym pałeczką kapelmistrza. I tak właśnie czernieje hala dworca, jak scena, przesłonięta kurtyną.

Wtedy pośpiech i niecierpliwość obcej mowy podrywa z wahadłowego ruchu, a gwałt czyichś rąk poniewiera tobół podróżny. Porządek spraw dworcowych na Nordbahnhofie wiedeńskim, taki sam, jak na wszystkich dworcach, odbywa się w zastraszonej popłochu i oczom umyka wszelki kształt.

Najpierw opamiętywują się stopy, ostrożne na schodach i jakiemuś kierunkowi posłuszne. A dopiero potem przytomnieje wola i segreguje następstwo faktów. Organizuje się tak przygodność podróży według praw koniecznych i celowych. Mocno tkwi w pamięci „numer“ bagażowego, wyłuskany z ciżby i pierwszą znajomością wiążący z obcym miastem. Spocona twarz tragarza, czarniawa i niechętna jakoś się przecież odświeża srebrnym szylingiem i przekaże tę swoją łaskawość szoferowi, który z tego uśmiechu czerpie zaufanie do podróżnych.

Za szybami samochodu wykreśla się skrawek bruku, albo wznosi się ku oczom szyld sklepowy i

barwi czemkolwiek witryna. Wczesny, mroźny ranek drepce mnogimi stopami pracowitych przechodniów. Sprzeciwiamy się tej codzienności obcego miasta, a tożsamość form życia budzi jakby niechęć i rozczarowanie.

W hotelu skwapliwa usługa skrępuje, jak sieć. Już znowu niewłasnowolnych podrywa winda, a czyjś gruchający głos wabi i nęci, aby właśnie iść przez te czerwone chodniki, w tę czeluść korytarzy i pod te, jedyne, dla ciebie tylko przeznaczone, drzwi. Wtedy nagle podrywa się energia. Trzeba przecież jaknajprędzej zwalczyć obojętność, a może niechęć do mebli, trzeba ludzkim zwyczajem stworzyć sobie dom i dać przytułek wypakowanym rzeczom, które tu wydają się ponad wszystko — „swoje własne“. I tak poznajemy tu wartość własności, jako sprawdzianu naszego ciężaru gatunkowego. Czułość, jak miękki puch, podściela się pod małowartość tych własnych gałganków, a sentyment spokrewnia się bardzo blisko z egoizmem.

Wobec hotelowego milieu nastawiamy się narażenie opornie. Jest nawet gorzej, bo czujemy wstręt do tego otoczenia, nasiąkniętego obcymi fluidami, napęczniałego wieloraką obcością. Brzydymy się nawet powietrzem, w którym trwa oddech nieznanych mie-

szańców. Słowa, skąpe i krnąbrne, przycichają, stają się sekretne, niemal spiskowe. Bo może czyjś słuch przycisnął się do ścian i czyjaś ciekawość zbiera nasze słowa dla swojego szyderstwa?

Dopiero woda, nieczyja własność, dopiero woda — czystość przejrzysta, płynna, niezatrzymywana, wybuchająca z kranów, śmiesznie rozpluskana, wesoła i robocza — dopiero ona przyswaja nas tej obcości, pozbieranej tu, jak śmietnik z całego świata. Jesteśmy więc już u „siebie“, roześmiani już do wszystkich przygód, które napewno mieszkają w obcych miastach. A tymczasem znajome staje się światło zimowego dnia (myślimy: taksamo, jak u nas!) i niemal odgadliśmy tajemnicę okna z naprzeciwka. Ulica wyszarpuje się wgórę odgłosami i gra w murach, niby gorączka w ciele. Uderzamy słuchem, jak palcami w klawisze. Dźwięk — jeden, drugi, trzeci, wyrwany wrzawie. Trąbki samochodów zuchwałe i rozpustne; pęd automobilów niesie się przez ulicę, jak piasek przesuwany falą wiatru; furkot motocykli rozdziera powietrze, jak papierowy karton; a wozy grzechocą żelastwem powolnie i rytmicznie wedle rozważnej miary końskiego biegu.

I oto, gdy tak wydzieramy obcemu miastu ton po tonie, cieszymy się podobieństwem jego form życia. A potem, gdy wychodzimy, aby zwyczajem przyjezdnych gapić się na to, co we wszystkich miastach jest takiesame, a przyuczyć się tego, co tu właśnie jest inne, posługujemy się już niby tabelką porównawczą. Dziwimy się więc, że fasady domów są odmienne, że kierunek ulic nie jest odrazu rozpoznany, że niespodzianie place zastępują drogę, a na czarnym masywie kościoła nie tak łatwo daje się odczytać sens rzeźb. I dlatego to, dla własnej jakby otuchy, zestawiamy sumiennie i bodajże poznajemy niby coś swojego. W rozróżnianiu stylów architektury przypominają się pamięci znane już skądinąd gotyki, renesanse i baroki. Wie się już przecież, jak bezmiernie wydłuża się, ścienia i wystrza gotycka wieża tumu Świętego Szczepana, jak płaski fronton baroku potrafi się wyrzeźbić floresem na trójkącie szczytu i

nie dziwi nas, że nad klasyczne kolumny Karlskirche wyrośnie kopuła świętopietrowa, nad której rozwiązaniem biedził się Bramante i Michał Anioł i da Vinci.

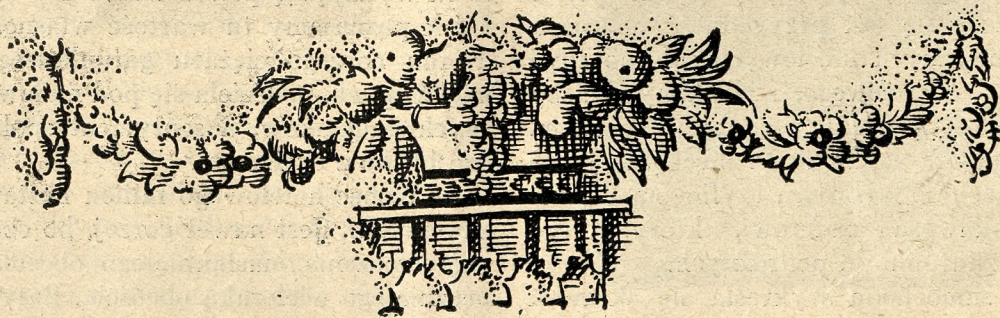
Taksamo, jak w wielu innych miastach i tu rozpięta się oficjalne teatry, wydęte półkolem podjazdów, uskrzydłone triumfem muz, rozśpiewane na wszystkie strony surmami anielic. Nie obcy jest oczom Parlament, greckim świątyniom podobny, a poddany straży mądrej bogini, jak kiedyś Akropolis. A znowuż w ślad napoleońskich łuków i orłów poszła zawiść habsburskich władców i sinem powietrzem nasiąka ażur „Jagdgloriette“ w Schönbrunnie, gdzie właśnie napoleońskie Orlątko nigdy nie miało się stać orłem.

Tyle i tyle tych podobieństw, że są już niby kiedyś przeżyte wspomnienie, omroczone mgłą, niewyraźne w konturze. I odrazu dzieje się tak, że z obcych przechodniów stają się sobowtóry osób znanych.

Czyjś uśmiech, czyjeś oczy, czyjeś rysy miłe i niemiłe powtórzą się tu, jak w lustrze i przejdą mimo z obrażającą obojętnością. A wtedy — jakby się objawi obcość miasta i własna bezpotrzebność, która tu myszkuje, śledzi i prawie kradnie dla własnej przyjemności obce piękno, obcą przechwalność i obcych ludzi twarze i gesty.

Na jakimś rozstaju ulic przystajemy już pokorni i już zabłąkani. Potrąca nas szybkość tych, którzy wiedzą dokąd dążą, a zatrzymuje jakby błagalny gest policjanta. Wybieramy z namysłem jedną z tych nieznanych ulic i znowu uparcie myślimy: jak podobna! I znowu sobowtór przechodzi obok nas, człowiek, który nas nie poznał. A może to właśnie my odmieniliśmy tu swoje twarze, albo mijamy niedostrzegalnym cieniem tych wszystkich żywych, w planie swoich pracowitych godzin żyjących? Może to właśnie my, przyjezdni, temu miastu nie swoi, nie znamy zakłęb powitań i formułek poznawania się ludzi z ludźmi?

Wiedeń, w lutym.



Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Mit o Nibelungach w Tetralogji Wagnera

Z powodu wystawienia „Zmierzchu bogów“ w Teatrze Wielkim

Zanim Wagner wystawił tetralogję — „Pierścień Nibelungów“, przez kilkanaście lat speradycznie pracował nad wielkim dziełem, nie mając odwagi zakończyć dramatu, finałem, dalekim od historii mitu. Przez cały ten czas ulegał on najrozmaitszym wpływom nietylko literackim, ale etycznym i filozoficznym, które wprowadziły nawet pewną rozbieżność w koncepcji tetralogji. Gdy u Hebbła mit o Pierścieniu jest ujęty w myśl chrystjanizmu i oznacza wyrzeczenie się złudnych bogactw świata — podczas gdy u Ibsena „Rycerze północy“ są tylko ludźmi, a wszystko co ich otacza ma realne kształty — u Wagnera istnienie bogów i ludzi splątało się w fantastyczno-romantyczną formę dramatu. Na stworzenie bohaterów tetralogji wpłynęła namiętna miłość, na zakończenie dzieła pesymistyczna filozofja Schopenhauera, która obracała w nicosć pracowicie wzniesiony fundament życia. Właściwem założeniem „Pierścienia Nibelungów“ Wagnera była żywotność, odwaga i radość człowieka natury — młodego Zygryda. Tragizm przeznaczenia skarbu Nibelungów znalazł swój wyraz w śmierci Zygryda — pesymizm autora, jego zniechęcenie do życia i ludzi stworzyły „Zmierzch bogów“, który był zakończeniem dzieła, wreszcie ostatnim owocem żmudnej pracy było „Złoto Renu“, które odegrało rolę preludjum do „Walirii“, „Zygryda“ i „Zmierzchu bogów“.

Muzyka Wagnera stanowi z jego dramatem nierozdzielną łączność — wnika najzupełniej nie tylko w każde słowo, ale i mimikę sceniczną — daje każdej postaci tak potężny, a dostosowany do charakteru wyraz, iż wobec tych niezwykłych wartości, błędna pewne odchylenia dramatyczne. Zrozumienie muzyki wagnerowskiej wymaga długich i szczegółowych studiów, albowiem nietylko każda postać posiada swój motyw przewodni, ale każdy interwał, każdy nawet ton wyraża pewną tendencję autora, a zamiast odpowiedzi w dIALOGU scenicznym — odzywa się często w orkiestrze motyw, ilustrujący odpowiedź muzyczną na pytanie wyrażone w słowach.

Fantastyczność akcji tłumaczył Wagner jako czynnik odgrywający w uczuciowem życiu człowieka najważniejszą rolę.

Natomiast od muzyki swojej wymagał Wagner, aby fantastyczne postacie dramatu przybrały najrealniejsze kształty, godne ich ducha, a na wyrażenie poetyckich nastrojów z uczucia miłości, przeznaczył melodję.

Mimo iż orkiestra wagnerowska w niezwykle bogatej instrumentacji, o potężnem brzmieniu i sile dynamiki doprowadzonej do kulminacyjnego punktu i najwyższego napięcia, stanowiła odrębny świat.

Wagner, idąc po linii zasad Glucka, oddał wszystkie środki muzyczne, którymi rozporządzał, na usługi dramatu, a nawet w swoim teatrze, w Bayreuth, uczynił ją niewidzialną oczom widza, chcąc skupić uwagę widowni wyłącznie na dramacie. Polifonja w muzyce Wagnera, polegała na kojarzeniu motywów przewodnich w różnych formach harmonicznym, a każdy instrument w orkiestrze pozostawał w ścisłej łączności z pierwiastkiem dramatycznym, któremu służył.

Pierścień Nibelungów jest właściwą, najistotniejszą częścią twórczości Wagnera, ponieważ na stworzenie tego dzieła wiekopomnego złożyły się najsilniejsze wpływy w życiu autora „Śpiewaków norymberskich“. Postacie Zygmunta i Zygliny — Zygryda i Brunhildy, wykwitły z miłości Wagnera do Matyldy Wesendonte, z uczucia, które nie miało prawie ziemskich cech, gdy postacie, Hagen, Mime i Alberyka, ludzi i karłów o najgorszych instynktach, stworzyła w umyśle genialnego twórcy niechęć do ludzi, ich fałszu i intrygi. Wreszcie bóg Wotan — wieczny tułacz, który chce zniszczyć samego siebie — powstał z ponurej filozofji schopenhauerowskiej i zmierzchem bogów zakończył dzieło.

Jedna tylko postać w tetralogji olśniewa żywotnością i radością życia — jeden tylko Zygryd, nie



Scena ze „Zmierzchu bogów“ — Dygas w roli Zygryda, zastuchanego w śpiew wodnic

ustraszony bohater, otwiera z ufnością ramiona do świata i promienieje w dramacie pogodnym duchem autora — aż do czasu dojrzałej koncepcji „Zmierzchu bogów”. Bo wtedy pisał Wagner do przyjaciół: „... moje poglądy na ludzkość stają się coraz posępniejsze; czasami mam wrażenie, że rodzaj ten musi przepaść”. Stąd powstał w „Zmierzchu bogów” najpiękniejszy i najtragiczniejszy w całej literaturze muzycznej Marsz Żałobny, po śmierci bohatera Zygryda, którego, jako dziecko natury oplakuje przyroda cała, nieumiejąca mimo wszystko uchronić rycerza od śmierci, zadanej mu podstępnie przez złego człowieka. „Zmierzch bogów” jest syntetycznym ujęciem treści i motywów przewodnich całej tetralogii, na tle ponurej atmosfery dramatu, w opowieści wstrząsającego i ciężącego nad akcją. motywu marsza żałobnego, który przepowiada na wstępie Norny, przedzając nić życia Zygryda. Ten najpotężniejszy dramat w „Pierścieniu Nibelungów”, jest synfonią uczuć ludzkich o tytanicznej sile patosu i przejmującej grozie muzycznego wyrazu, ujętego w gigantyczną formę, stworzoną dla pól - bogów i nadludzi germańskiego mitu — symfonią, której kulminacyjnym efektem jest śpiew Brunhildy nad zwłokami Zygryda. Potem nastaje zmierzch bogów, powrót ich do Walhalli...

„Zmierzch bogów” wystawiła opera warszawska z całą starannością. Jaroszówna jako Brunhilda wywiązała się z swego zadania bardzo dobrze. Jej głos brzmiał jasno, donośnie i dźwięcznie. Dygas opłonił partję Zygryda z właściwą mu doskonałą znajomością wagnerowskiego stylu. Orkiestra pod dyktando Dołżyckiego, dobrze przygotowana, grała z rozmachem. Dekoracje Wodyńskiego, z wyjątkiem ostatniej banalnej sceny, bardzo ładne. Reżyserja dobrze podpatrzona. Przedstawienie naogół bardzo udane.

P. L.

Ś. P. SIOSTRA ANNA KOBYLİŃSKA

Po długim i pracowitym zaiste żywocie rozstała się z tym światem jedna z tych postaci, które pod skrzydlatym kornetem i szarą zakonną sukienką siostry miłosierdzia ukrywają źródło nieprzebranej energii i gorącej miłości bliźniego. Z temi dwoma zaletami, niezbędnymi u rzetelnej działaczki społecznej, Siostra Anna łączyła trzecią: wybitny zmysł organizacyjny.

Szesnaście lat pracy w Biurze Nędzy Wyjątkowej, codzienne pielgrzymki po poddaszach i suterenach Powiśla, Czerniakowskiej, Szmulowizny i Pelcowizny dały jej poznać zbliża cały ogrom ludzkiej niedoli. Przedewszystkiem niedoli dziecięcej. Nie było wówczas ochron, ani przedszkoli. Dzieci wałęsały



Ś. P. Siostra Anna Kobylńska

się po ulicach, rosły, jak dziczki, w puszczy ludzkiej. Siostra Anna wynajmuje mieszkanie na Tamce, gdzie przygarnia gromadkę sierot. Wkrótce powstają, dzięki jej niezmordowanej energii jeszcze dwa takie schroniska: na Szczyglej i na Cichej. A fundusze? Znaleźć się musiały tam, gdzie do serc szlachetnych kołatała czynna miłość bliźniego, wcielona w osobę Siostry Anny.

Drugą jej troską była dola starców, niezdolnych do pracy. „Pamiętajcie o zubożałej szlachcie”, powtarzał często święty Wincenty à Paulo, który, choć sam pochodził z ludu, rozumiał, jak ciężko jest w starości znosić niedostatek tym, którzy do niego za młodu nie przywykli. Pomna wskazań świętego społecznika, Siostra Anna serdeczną pieczę roztoczyła nad podupadłą materialnie inteligencją. Marzyła o stworzeniu własnej siedziby dla umiłowanych przez siebie, a przez los wydziedziczonych, bezbronnych wobec życia: starców i dzieci. Marzenie rychło zamieniło się w czyn. Z właściwą sobie energią, Siostra Anna przypuściła szturm do możnych tego świata. Od Jana Blocha dostała plac nad Wisłą, znany architekt Marconi zrobił plan i poprowadził budowę. W przeciągu roku bez pieniędzy stanął gmach, w którym każda cegielka była ofiarą, zdobytą przez Siostrę Annę. Trzydzieści dwa lata temu powstał na Solcu ów Zakład pod wezwaniem św. Franciszka Salezego, najłagodniejszego ze świętych społeczników, który mistyczną opieką otoczył jedną z najbardziej popularnych instytucji w Warszawie. Przez te trzydzieści dwa lata około 2000 osób znajdowało w tym prawdziwie Bożym domu dach, pożywienie i opiekę. Niejedna, zdobna w cnoty rodzinne matrona, niejedno nazwisko, chlubnie zasłużone społeczeństwu lub literaturze, znajdowało i znajduje tu bezpieczne schronienie na sędziwe lata.

Zakładem św. Franciszka Siostra Anna wystawiła sobie żywy pomnik. Bolesław Prus, wielki przy-

jacieli Zmarłej, wspominał ją kilkakrotnie w swoich kronikach, nazywając ją genjuszem czynu. Jednego pokolenia byli to ludzie i tej samej rasy duchowej: odlani z jednej bryły, bez skaz i załamań.

Niezwykły rozum Siostry Anny w połączeniu z gorącym sercem wyrobiły w niej trafny sąd o życiu i jego sprawach, nadały jej serdeczną postawę wobec człowieka, jego zwątpień, błędów i upadków. Sama będąc już duchem w odlocie, nadawała zdrową radą właściwy kierunek duszom na rozdrożu.

Cześć Jej pamięci!

S. P. O.

Z KSIĄŻEK

Jerzy Bohdan Rychliński: „Róża korsarska” — powieść
Poznań. Wydawnictwo Polskie (R. Wagner.)

„Róża korsarska” należy do rodzaju tych utworów, w których pierwszorzędne wartości artystyczne poszarpane są na strzępy przez furję nieokiełznanego temperamentu twórczego. Autor nie mógł najwidoczniej zdecydować się na wybór między powieścią sensacyjną, a fantastyczną, wskutek czego pierwotna koncepcja utworu tłucze się o ściany formy, niedopasowanej do rozmachu wyobraźni. Sądząc po kilku pierwszych rozdziałach, z których każdy to obraz, wibrujący ruchem, życiem, ekspresją, spodziewamy się w dalszych wzroście i skupienia akcji, która na razie wybuchą zwartym prądem, aby płasko rozlać się na mieliźnie finału. Sprawia to na razie wrażenie, jakby utwór niedostatecznie był przemyślany przez autora. Tymczasem jeden z fragmentów, ogłoszony w „Tyg. Ilustrowanym”, a pominięty w wydaniu książkowym, świadczy o pogłębieniu tematu aż do granic ideologii nowoczesnego humanitaryzmu.

Pomimo celowego prawdopodobnie wyeliminowania pierwiastków ideowych z powieści, która miała być „sensacyjną”, pulsuje ona całą kultem rasy, głosząc jej triumf nad panoszącym się chamstwem. Aureola, jaką autor otoczył głowy Derwida i Sydonji, nowoczesnego byronisty i demonicznej kusicielki, świadczy o nawskroś uczuciowym stosunku autora do swych bohaterów, w których romantycznie, po młodzieńczemu jest rozkochany, kontrastowo wypuklając piękno ich kształtu fizycznego i duchowych sylwetek na tle typów spodłałych i zbrodniczych.

Oblicza tych ludzi, malowane zawsze z namiętnością, czasem w zachwycie, częściej z nienawiścią, są małymi arcydziełami ekspresji, mają wyrazistość rembrandtowskich portretów. Zapomnieć o nich niepodobna, wrażają się w mózg razem ze środowiskiem, w którym ujrzelśmy ich poraz pierwszy. Pod tym względem przypominają nam, jak odległe echo, ludzi Conrada. Tylko, że Conrad ma żelazną konsekwencję w prowadzeniu linii namiętności,

w stopniowaniu hierarchji zjawisk psychicznych aż do tragicznego załamania. Tej konsekwencji Rychlińskiemu jeszcze brak. Ognia ma dosyć — przydałoby się więcej stali.

S. P. O.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

„Młodzież szkół zawodowych w świetle badań psychologicznych”.

Maciej hr. Lubieński. „Jutrzienka serc” (Biblioteka nowości).

Dr. Radwan. „Jak zostać mistrzem życia” (wyd. M. Arcta).

Dr. Radwan. „Sugestia w miłości” (wyd. M. Arcta).

Rufert Hughes „Tajemnica bryły lodu” (wyd. M. Arcta).

Rex Beach. „Gwiazda samotna” (wyd. M. Arcta).

Jane Grey. — „Jeźdźcy purpurowego stepu”.

Lucjan Kapitanik. — „Jak odbierać fale od 20 do 2000 m.”.

M. H. Szpyrkówna. Cykl „Pierwioski” — trzy tomy:

„Nena zaczyna żyć”.

„Nena się uczy”.

„Nena się kocha”.

Biblioteka: „Weź mnie ze sobą”.

Marja Grossek Korycka. — „Serce” (powieść). Tow. Wyd. Rój.

„Wieszczka” (poemat).

Kobieta w świecie i w domu

PAWILON PRACY KOBIET NA WYSTAWIE W POZNANIU.

Pod przewodnictwem pani prezydentowej Mościckiej odbyło się na Zamku liczne zebranie sprawozdawcze przedstawicieli organizacji społecznych, biorących udział w pracach nad urządzeniem pawilonu kobiecego na Wystawie Poznańskiej.

Z bardzo szczegółowych sprawozdań poszczególnych sekcji można wyprowadzić dwa wnioski: 1-y, że nasze działaczki społeczne gorliwie zakrzętały się około dokładnego i plastycznego zobrazowania pracy kobiet w Polsce, zgromadziwszy z niebywałą energią znaczną ilość eksponatów i danych do wykresów, 2-i, że nasz ogół kobiecy słabo reaguje na wezwania i ankiety, leniwie rozkupując żetony wystawowe i opieszale nadsyłając odpowiedzi.

Chlubnie pod tym względem wyróżnia się Lwów, dając przykład sprężystej organizacji i przejrzystego układu statystycznych danych. Niektóre działy np. pracy kobiet na roli i „polka na emigracji” z konieczności przedstawiać się będą bardzo skromnie, gdyż większość eksponatów skupi się w oddzielnych pawilonach: ziemianek i wychodźstwa.

Jako najbardziej ciekawe szczegóły wymienić należy: w dziale pracy umysłowej kobiet wykresy, dotyczące liczby wstępujących studentek i wydanych dyplomów, co ma sprostować błędną opinię ogółu w sprawie rzekomego „niekończenia” wyższych uczelni przez kobiety, — w tymże dziale bibliografja piśmiennictwa kobiet polskich, opracowywana przez lwowski oddział Stow. kobiet z wyższem wykształceniem (potrzeba lic-

niejszych przedpłat w wysokości 20 złotych), — dalej w dziale walki o równouprawnienie ciekawe wykresy i mapy, zestawiające stan rzeczy u nas i we wszystkich innych państwach Europy.

Dział opieki społecznej skarży się na duże braki i wzywa do nadsyłania odpowiedzi z terminem ostatecznym 25 marca. To samo dział ogólny Stowarzyszeń kobiecych, prosi o informacje, dotyczące działalności i rozwoju liczbowego stow.

Na całkowite pokrycie kosztów budowy pawilonu potrzeba jeszcze 175.000. Redakcja „Bluszczu” posiada jeszcze sporo żetonów nierosprzedanych i wzywa swe czytelniczki do rychłego ich wykupienia.

O URLOPY DLA ŻON I MATEK.

Niedawno Rumuńska Liga Kobieca wystąpiła z projektem przewidującym urlop miesięczny co roku dla każdej zamężnej kobiety. Liga sądzi, że, jeśli każda kobieta - robotnica ma ustawodawstwem zagwarantowane prawo do urlopu, to powinien je mieć również i kobiety - żony i matki, które cały rok ciężko pracują w gospodarstwie domowym i na których barkach leży wychowanie dzieci. Rumuńska Liga Kobieca ma zamiar — celem zrealizowania swego żądania — przeprowadzić energiczną agitację nie tylko na gruncie rumuńskim, lecz i na terenie międzynarodowym

L. r.

PIONIERKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ W DZIEDZINIE PRZEMYSŁU.

Pierwszą pionierką działalności kobiecej w dziedzinie przemysłu była „Żelazna kobieta z Trentów”. Tytuł ten, pod którym znana była w całej Ameryce, zdobyła sobie miss Harriet White Eisher Andrews, która w r. 1899 przejęła odlewnię żelaza swego męża i rozwinęła tę małą fabrykę w olbrzymie przedsiębiorstwo. Zanim przejęła fabrykę — była sobie zwykłą gospodynią domu. Z chwilę objęcia kierownictwa fabryki — zmieniła zupełnie tryb życia. Każdego rana jeździła samochodem do fabryki, była pierwszą na placu; na drwiące miny robotników odpowiadała uśmiechem, pewnym zwycięstwa. Szybko zdobyła odpowiednie wykształcenie. Stary majster został jej nauczycielem, i dzielna kobieta w krótkim czasie prześcignęła swego mistrza. Nikt z otoczenia „żelaznej kobiety” nie umiał tak dobrze podpalić wielkiego pieca, jak ona. Nikt nie umiał tak zręcznie posługiwać się dłutem, młotem, łyżką do topienia i gwintownicą.

Zdołała kupieckie pani Andrews przewyższyć jeszcze zręczność jej rąk. W ciągu paru lat zdobyła sobie rynki zbytu nawet w najodleglejszych zakątkach Ameryki. Zrzeszenie kupców amerykańskich zamianowało „żelazną kobietę z Trentów” swym członkiem honorowym. Napisali wtedy w swym piśmie: „Kobieta ta jest tak doskonałym kupcem, żeśmy o jej pici zapomnieli”.

L. r.

SIGRYD UNDET PISZE SZTUKĘ DLA TEATRU MARJONETEK.

Pani Sigryd Undset, ostatnia laureatka Nobla, jest wielką wielbicieleką teatru marjonetek; niedawno podpisała ona umowę z jednym z takich teatrów w Oslo, dla którego zobowiązała się napisać specjalną komedję. Tytuł tej komedji będzie brzmiał: „Na wschód od słońca i na zachód od księżyca”. Będzie to zarazem pierwsza sztuka sceniczna, napisana przez wielką powieściopisarkę. Motywem napisania tej sztuki był obok zamilowania autorki do teatru marjonetek, jej zapal filantropijny. Sztuka przeznaczona jest mianowicie na uprzyjemnienie świąt Bożego Narodzenia ubogiej klasie pracującej, która nie może sobie pozwolić na kosztowniejsze rozrywki.

PIERWSZE — WYSOKIE OBCASY.

Wysokie obcasy u obuwia kobiecego zaprowadziła po raz pierwszy na dworze Henryka II, króla Francji, Katarzyna de Medici w r. 1567. Moda ta przetrwała więc trzysta sześćdziesiąt lat i trzeba było dopiero wielkiej wojny, szeregu rewolucji i wstrząsów społecznych, by kobiety doszły do przekonania, że wysoki obcas w obuwii jest niczem innym, jak przeżytkiem, który za cenę wątpliwej zresztą elegancji — wywiera bardzo ujemny wpływ na zdrowie.

UTRAPIENIA PODATKOWE KAWALERÓW GRECKICH.

Rząd grecki, wzorcując się na innych państwach europejskich, postanowił wprowadzić specjalny podatek dla kawalerów. Projekt odnośnej ustawy przewiduje, iż obowiązkiem płacenia podatku kawalerskiego podlegać mają w Grecji wszyscy mężczyźni, którzy ukończyli lat 30 i nie wstąpili jeszcze w związki małżeńskie. Podatek ten będzie obowiązywał wszystkich nieżonatych obywateli greckich aż do ukończenia 55-go roku życia. Projekt grecki przewiduje zwolnienie od podatku kawalerskiego inwalidów wojennych i oficerów niższej rangi, gdyż ich ograniczone dochody nie pozwalają na założenie ogniska domowego.

„JAK ŻYJE I PRACUJE” KOBIETA AMERYKAŃSKA.

Jeden z pisarzy francuskich kreśli na ten temat interesujące uwagi. Przedmiotem jego obserwacji jest kategoria zamężnych amerykańek, rekrutujących się ze średnich i wyższych sfer towarzyskich.

Najbardziej uderzył francuskiego obserwatora fakt, iż małżonkowie prawie w ciągu całego dnia nie widują się ze sobą. Każde z nich ma swe własne interesy, i przyjemności, które wypełnia dzień. W pierwszorzędnym restauracjach New - Yorku bardzo rzadko można spotkać parę małżeńską. I co ciekawsze, to fakt, iż zarówno mężowie jak i żony, stołują się w tej samej restauracji — każde z nich przebywa jednak we własnym, męskim lub kobiecym towarzystwie, w gronie znajomych lub też ludzi, z którymi łączy ich interes handlowy. Amerykanka wychodzi rano i wraca dopiero wieczorem. W ciągu dnia amerykanki rozwijają ogromną energję, uczestnicząc w zebraniach, wykonując całą masę innych czynności — w gruncie rzeczy nie nie robiąc. Kobiety amerykańskie mają wielką ilość własnych klubów, w których jedzą śniadanie, piją herbatę i wiodą nieskończone długie pogawędki. Tematem tych rozmów jest przeważnie polityka, filantropja, kwestje, dotyczące sztuki, literatury i moralności. Po pogawędce klubowej, amerykanka zwiedza magazyny, a później udaje się na giełdę. Jest rzeczą bardzo ciekawą, iż jedną godzinę w ciągu swego pracowitego dnia amerykanka poświęca słuchaniu referatu. Amerykanka chce się uczyć, pragnie rozszerzać swój horyzont umysłowy, wiedzieć o wszystkim i dlatego słucha chętnie prelegentów, którzy opowiadają o najnowszych metodach uprawy bananów w Argentynie, o regulaminach więziennych, a również i o ostatnich prądach w literaturze. Referaty tego rodzaju odbywają się niemal w ciągu całego dnia w różnych punktach New - Yorku, przyczem większość ich odbywa się w wielkich hotelach i kawiarniach podczas spożywania przez gości śniadań i lunchów. Odczyty te cieszą się u dam amerykańskich ogromnym powodzeniem.

L. r.

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” (Z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAJECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



Puste zazwyczaj podwórze roi się od żołnierzy, koni i strasznie śmiesznych, małych wózków z dymiącymi kominami...

Z KUCHNIĄ POLOWĄ CZERWONEGO KRZYŻA

Zatelefonowano do mnie z Czerwonego Krzyża:

— Wszystkie pani koleżanki z trzeciego kursu i cała sekcja siostr rezerwy proszą, aby pani zechciała się raz przejechać na naszej polowej kuchni.

— Na polowej kuchni!? Dokąd? Poco?

— A, tego to się już pani dowie na miejscu.

— No, dobrze.

— Ale proszę się ubrać w najstarsze palto, wziąć najgorsze buciki i, Boże broń! nie wkładać modnego kapelusza.

— Aha!

Przychodzę na Mazowiecką 9, umundurowana według rozkazu. Puste i ciche zazwyczaj podwórze roi się od żołnierzy, koni i strasznie śmiesznych, małych wózków z dymiącymi kominami. Zalatuje smakowity zapach kapuśniaku; schody i sam lokal Czerwonego Krzyża również są tym zapachem przesiankięte. Kilka moich koleżanek, w mocno powalanych fartuchach, ładuje do wielkich worów z grubego płótna cegiełki czarnego, żołnierskiego chleba.

— Co się tu dzieje?! — pytam, witając się z panią Wernerową, niezmordowaną naszą opiekunką, pod której macierzyńskim okiem dojrzewają kolejne kursy, zasilać coraz obszerniejsze kadry siostr rezerwy.

No i dowiaduję się zaraz na wstępie, że określenie „siostry rezerwy” jest obecnie nieaktualne. Teraz się mówi: „siostry pogotowia sanitarnego”. I właśnie to pogotowie sanitarne, zmobilizowane wobec lutowych mrozów, dowozi gorącą strawę do baraków, pozbawionych węgla. Od 12.II dzień w dzień wyrusza osiem kuchni polowych, wioząc na krańce miasta po 500 porcyj gorącej zupy z chlebem dla najbardziej potrzebujących. Rozdawanie strawy trwało do 1.III; od czasu

zelenia mrozów ilość kuchni zredukowano do czterech. Ogółem rozdano 8.000 porcyj.

— No, i czemuż ja nie zostałam wezwana do pracy? — pytam zawstydzona.

— Wiedziałyśmy, że pani jest bardzo zajęta, a rąk ofiarnych nam nie brakło. Chciałyśmy tylko, żeby pani raz zobaczyła naszą pracę, jako dziennikarka. To też siostry zdecydowały, że aby osiągnąć maksimum wrażeń, pojedzie pani na posterunek najgorszy.

— To są i lepsze i gorsze?

— A tak. Pokażę pani raporty siostr: na Woli, na Stalowej ludność wita siostry z kuchnią owacyjnie; sami się ustawiają w ogonku, wybierają zupę do ostatniej łyżki, dziękują, proszą, żeby koniecznie znowu przyjechać... Na Okopowej tłoczą się, wymyślają grymaszą, że niesmaczne; raz skradziono koc, raz oblano żołnierza kapuśniakiem...

— A pani właśnie pojedzie na Okopową! — mówi wesoło, błyskając wielkimi, czarnymi oczyma, jedna z moich byłych koleżanek, panna Terenia.

— Dziękuję.

Dostaję mundurowy szary sweater, na którym moje cywilne palto nie chce się ani rusz zapiąć. I biały fartuch z opaską z czerwonym krzyżem, i grube, olbrzymie rękawice, nieco sztywne, jako że nieraz już były maczane w zupie. Mam wrażenie, że jadę odkrywać biegun północny.

— Jakże ja będę rozlewać tę zupę, kiedy ja się w tem wszystkim wogóle nie mogę ruszać?... — protestuję nieśmiało.

— Przyzwyczaj się pani! — upewnia jasnowło-

sa młoda osóbka, i, rzeczywiście, jej podobny rytnunek nie wydaje się bynajmniej krępować.

Jeszcze biała trykotowa czapeczka na głowę, w niej zatknięty „rozkaz dzienny”, głoszący — „kierunek: Okopowa 59 — ładunek: kapusta”.

Konie zaprzężone. Wchodzenie po kole w stroju, tak mało do ćwiczeń gimnastycznych się nadającym, do przyjemności bynajmniej nie należy. Ruszamy. Wyjazd czterech dymiących wehikulów na Mazowiecką wywołuje zrozumiałą sensację. Czuję się na tem wysokim i drobno trzęsącym siedzeniu, jak pies na płocie. Wyglądam też zapewne na coś w tym rodzaju. Ludzie się gapią. Na domiar złego, mój wóznica oznajmia, że koc na nogach jest źle założony, i zatrzymuje konie przed samą Ziemiańską. Robi się zator; jacyś szoferzy klną, na czym świat stoi; eskortujący kuchnię konny plutonowy trzyma za uzdę ogniste rumaki, aby się nie płoszyły, a sympatyczny żołnierz coś majstruje koło koca. Nareszcie skończył. Jazda. Trzymam się kurczowo niziutkiego żelaznego oparcia, gdyż bliższa znajomość z twardym asfaltem jezdni nie wydaje mi się zbyt pociągającą.

— Niech mnie siostra weźmie pod rękę, to będzie lepiej — mówi żołnierz życzliwie.

Rzeczywiście tak jest lepiej. I sama jazda staje się coraz przyjemniejszą. Asfalt się skończył, ludne ulice zostały poza nami. Teraz można jechać już prędzej, pustymi, wąskimi uliczkami, wysypanymi skrzypiącym śniegiem. Tylko że, mimo tak gruntownego opatulenia, zaczyna mi być trochę zimno. A przecie dzień jest bardzo ładny i wcale niemroźny.

Zatrzymujemy się przed barakami. Mój przyjaciel zdejmuję mnie z wózka, jak lalkę. I w tej chwili jesteśmy odsunięci, odrzuceni od kuchni przez tłum ludzi z miskami, garnkami, dzbankami — tłum, tłoczący się bezmyślnie koło zamkniętego kotła.

— Ależ państwo! ależ dajcie mi przejść! Ależ tak nikt przecie nic nie dostanie!... — proszę i perswaduję, przeciskając się do wozu.

Żołnierz i konny plutonowy sekundują mi dzielnie. Gdyby nie oni, to... nie wiem... br! co za twarze! Nie decyduję się stanąć jedną nogą na śliskiej osi od koła, drugą — na mokrej od roztopionego śniegu i przelanego kapuśniaku galeryjce przy kotle, jak mnie uczyły moje doświadczone poprzedniczki. Proponuję sympatycznemu żołnierzowi, abyśmy zamienili role: on będzie rozlewał zupę, a ja rozdaję chleb. Zgoda. Cisną się do mnie teraz dzieci małe, zbiedzone; baby potargane, z powybijanymi zębami; mężczyźni o twarzach posiniaczonych i poznaczonych paznogi. Raz po raz zalatuje zapach wódki.

— Paniusiu! tylko jeden kawałek?... Nas przecie sześcioro!... — skamla dzieci, zawodzą baby. Každy bez wyjątku upewnia, że bierze na sześcioro.

— Tylko po jednym kawałku, siostró, bo nie



Obieranie kartofli

wystarczy! — ostrzega żołnierz ze swego wysokiego posterunku, wymachując chochlą, jak berłem.

Tę szelmowską fizjognomję, wylaniającą się ze względnie porządnego szarego swetra, widzę stanowczo przy wozie po raz drugi.. nie, po raz trzeci.

— Panie, niech pan odejdzie! pan już dostał.

— Pani cheba ziartuje — odpowiada z uśmiechem, ale odchodzi. Po chwili znów jest.

— Niech pan odejdzie! widzę tu pana już po raz czwarty.

— Ale! zdaje się pani, patrzcie ją! Przecie nie jeszcze nie dostałem.

— Proszę odejść! — z nieklamana przyjemnością spostrzegam przy sobie plutonowego, który zsiadł z konia, żeby stanąć przy mnie.

Widocznie podrażniony tą interwencją, typ w szarym swetrze wylewa otrzymany kapuśniak do śniegu i odchodzi, czyniąc kłamliwe insynuacje, co do stosunków, jakie go łączyły ze mną i z moją matką. Obecność pana plutonowego napędza mnie taką otuchą, iż czuję się całem zającem raczej ubawiona. Cierpnę tylko na myśl, że podobnych rzeczy mogły, bo musiały, nieraz wysłuchiwać i osiemnastoletnie panienczki. Biedactwa!

Jakaś baba zwraca mi uwagę na trzyletnie maleństwo, co przywędrowało z miską, a nie może stanąć w ogonku, boby je zgnięti. Podnoszę więc miskę sama do góry.

— A ja przez ogonka nikomu nie dam! — oznajmia pan chochli i kotła.

— Jakto? i mnie pan nie da?!

— Ee, chyba, że dla siostry...

Malutka obejmuje triumfalnie miskę gorącej zupy, a ja spostrzegam z rozpaczą, że trzech łobuziaków, korzystając z zamieszania, kradnie chleb, ile się da.

— Niech już pani stąd idzie — mówi znajomy głos kobiecy. Oglądam się: rumiana siostrzyczka

wdrapała się, jak kotka, na galeryjkę i już rozlewa zupę; żołnierz przychodzi do chleba.

— Już ja dokończę, a tam panie czekają na panią w aucie.

Rzeczywiście z krytej taksówki uśmiechają się do mnie pani Wernerowa i panna Terenia.

— Ale czemu mam stąd iść? Przecież i ja powinnam spełnić obowiązek do końca! Przecież jestem siostrą pogotowia sanitarnego! — próbuję się zbuntować.

— Niech pani będzie spokojna! — mówi p. Wernerowa — na wypadek powodzi zostanie pani powołana. Wszystko jest przewidziane i wszyscy są policzeni. A teraz, niech pani jedzie do domu i napisze o tem, jak się sprawiają nasze kuchnie polowe.

Napisałam. Jakżeby mogła nie napisać!?

Jadwiga Kiernarska



KSIAŻKA—PRZYJACIEL CZŁOWIEKA

Jean Jacques Rousseau w młodzieńczej dobie swej twórczości literacko-filozoficznej napisał traktat, w którym zastanawia się nad tem, czy rozwój cywilizacji wpłynął dodatnio, czy też ujemnie na szczęście ludzkości.

Traktat ten wywołał wielką polemikę nie tylko wśród uczonych współczesnych, ale poruszył umysły całego ówczesnego społeczeństwa francuskiego.

Nawoływanie do powrotu do stanu natury, do zerwania ze sztucznością życia i zbytkiem, jaki cechował czasy przedrewolucyjne, było czemś tak biegunowo przeciwnem obyczajom i przyzwyczajeniom współczesnych uprzywilejowanych warstw społeczeństwa francuskiego, że teorie, głoszone przez Rousseau, obłądnemi wprost wydawać się musiały.

Utworzyły się dwa obozy. Zwolennicy i przeciwnicy Rousseau zapamiętywali się w sporach i dowodzeniach, a prawda, jak to bywa w większości spornych kwestyj, leżała zapewne pośrodku.

Choć słuszną była krytyka wyrafinowanego zbytku, okupywanego nędzą i niedolą tysięcy ludzkich istnień, uprawnionych do lepszej egzystencji, to jednak nie można odmówić cywilizacyjnemu zdobyczom ich dodatniego wpływu i znaczenia w ogólnym rozwoju ludzkości, w jej dążeniu do zrównania klas, do dania każdemu człowiekowi możliwości pełnego rozwoju swych uzdolnień i wykorzystania ich w sposób sobie właściwy i, poza dobrem ogólnym, swoje egoistyczne interesy mający na celu.

Możność tę daje przedewszystkiem uprząstęczenie szerszemu ogółowi zdobytych już wiadomości,

stanowiących dorobek naukowy minionych pokoleń. To też ze wszystkich dobrodziejstw, któremi nas obdarzył wiek dziewiętnasty, najcenniejszem jest potanie książki, a tem samem i uprząstęczenie jej wszystkim.

Już w drugiej połowie XV wieku jeden z biskupów mówi o książkach: „Oto są mistrze, którzy nas uczą bez różgi i kija, bez słów gniewnych i ostrych; nauczyciele, nie wymagający podarków i zapłaty. Kiedy się do nich zbliżasz, nie śpią; gdy ich zapytujesz wzrokiem przenikliwym, nie ci nie ukrywają, odpowiadają ci zaraz; jeżeli ich nie rozumiesz, nie niecierpliwia się za twoją nieświadomość, nie wyśmiewają cię”.

Dziś książka jest nam nie tylko mistrzem, ale najdroższym naszym przyjacielem, mądrym doradcą; pocieszycielem, gdy troska czoło nasze zasępi; miłym towarzyszem godzin samotnie spędzanych. W książce odnajdujemy często samego siebie. Ona jest nieraz naszym spowiednikiem, w niej znaleźć możemy odpowiedź na wątpliwości, które mącą nasz spokój wewnętrzny; w niej dojrzały człowiek odnawia i nanowo przeżywa swoje dziecinne wspomnienia, obrazy przyrody, widziane w podróżach, marzenia i przeżycia lat „górných i chmurnych”. Z niej młodzieniec czerpie pobudkę do czynów szlachetnych, do dzielnych wystąpień w walce życiowej, do poświęcenia na ołtarzu ojczyzny najdroższych swych pragnień, do bohaterstwa w imię ideałów dobra, piękna i prawdy.

Książka -- to przyjaciel i towarzysz niewymagający, zawsze gotowy do oddania nam usługi. Przybywa na każde wezwanie i rozstaje się z nami, gdy pozbyć się go chwilowo pragniemy. Czyż można sobie wyobrazić miłszego nad książkę uczestnika zabawy, lub odpoczynku po pracy? delikatniejszego obrońcę przed nudą, smutkiem, czy samotnością i opuszczeniem? Książka — to jedna z największych ozdób naszego życia, to klejnot, co, choć małemi środkami zdobyty, cenę ma niepomiarłą, gdy kwiaty szlachetnych uczuć i przedzę myśli podniosłych zawiera. Kto czytać lubi, zapewnia sobie tem zamilowaniem wiele chwil dobrych w życiu i nawet, gdy los nie szczędzi mu cierpień i przeciwności, nieszczęśliwym bezwzględnie czuć się nie może.

Słusznie też postępujemy, gdy już w dzieciach zamilowanie do czytania budzić się staramy. Odpowiedni dobór lektury może bardzo ułatwić trudne zadanie wychowawcy, bo myśl, zaczerpnięta z przeczytanej książki, nieraz głębiej żłobi się w sercu i umyśle młodocianego czytelnika, niż usłyszana od starszych nauka moralna, tak rzadko pozbawiona w oczach dziecka cech mentorstwa i pedanterji. Uczymy się więc kochać książki od lat najmłodszych, ale uczymy się też wybierać je starannie i odróżniać drukowaną bibułę od rzeczy cennych i naprawdę godnych czytania. Powie mi ktoś, że zanim się książkę przeczyta, trudno wiedzieć, czy czytać ją warto. Wobec olbrzy-

miego materiału, jakim już dzisiaj w dziedzinie literatury pięknej czy naukowej rozporządzamy, dobre orjentowanie się w wyborze książek, z którymi mamy się zapoznać, jest rzeczą konieczną; to też wskazówki, udzielane przez zawodowych krytyków, przez specjalistów, studjujących daną gałąź wiedzy, lub ludzi inteligentnych; ludzi o dobrym smaku, na których zdaniu polegać możemy — wielką nam w wyborze książek mogą być pomocą.

Trafiwszy na książkę wartościową, powinniśmy koniecznie nabyć ją na własność: z dobrą książką, jak z wiernym przyjacielem, żyć się trzeba. Nie dość jest przeczytać ją i odłożyć — wracać do niej należy, a w miarę, jak sami dojrzewamy umysłowo, coraz więcej w niej myśli, godnych zapamiętania, coraz więcej uroku znaleźć możemy. Książek-przyjaciół, jak przyjaciół-ludzi, nie można mieć wielu. Wyróżniać ich trzeba wśród tłumu, szanować, i kochać, i obchodzić się z nimi umiętnie. Wprawdzie książka — to najbardziej wyrozumiały wśród grona naszych przyjaciół, ale przez wdzięczność choćby za to, co z niej czerpiemy, nie wzamian nie dając od siebie, zasługuje na pewne względy. A jakże mało nawet pomiędzy tymi, co czytać lubią, widzimy takich, co myślą o tem, aby książce dać szatę estetyczną, utrzymać ją w należytej czystości, nie zaginać rogów jej kartek, nie robić na marginesach uwag, nie ślinić palców, przewracając kartki, nie składać tomu w połowie! Żle odnoszą się do własnych książek — jakże więc żądać, aby szanowali książki cudze!? To też publiczne czytelnie i wypożyczalnie książek dostarczyć nam mogą przerażającej liczby „dowodów rzeczowych”, stwierdzających nasze wykroczenia przeciw nakazom moralnym, tej dziedziny dotyczącym, obowiązującym ludzi kulturalnych; a skargi ludzi, którzy w dobrej wierze pożyczyszy książkę ze swej biblioteki, nigdy jej więcej nie zobaczyli — mówią nam rzeczy, na które lepiej zapuścimy zasłonę!

L. G.

ŚWIECONE

Doprawdy, nie mają racji pseudomoralisci, powstający przeciwko urządzaniu stołu ze Świeconem na Wielkanoc. Oczywiście, nie można zachęcać do zbytków, do występów nad stan. Lecz skromny, dostosowany do środków rodziny, a smaczniemi ciastami i mięsami zastawiony stół wielkanocny — jest tak ładny i tak rdzennie polską tradycją, że się jej wyrzekać nie należy.

Inne narody europejskie — mówię o europejczykach z Zachodu — nie znają wcale tej formy uroczystego obchodzenia Świąt. Pewien rodzaj Świeconego, bardzo do naszego zbliżony, znała dawna Rosja przedwojenna. Jednak tradycja rosyjska znała tylko kulicz — naszą babę i paschę, rodzaj bardzo smaczno, słodkiego sera; pozatem jaja farbowane i szynkę gotowaną. W stolicach, oczywiście, dodawano do tego różne rodzaje pieczonych mięs i pasztetów, różne torty i ciasta cukiernicze, przyczem baby nasze nosiły miano bab polskich, a naszych wybornych mazurków nie znano. Podobne do rosyjskich są potrawy wielkanocne ukraińskie, przyczem tam już specjalnie umieją wypiekać nadzwyczajnych rozmiarów baby, a do mięsa, nawet u niezamożnej ludności, dodaje się zwoje wybornych kielbas. I tutaj główną rolę gra pascha z sera. Na taką paschę każda dobra gospodyni ma jakiś specjalny przepis. Paschy przestają już być słodkim serem, a stają się zbyt słodkim przysmakiem, w którego skład wchodzi: najlepsza śmietanka, najświeższe masło, cukier, wanilia, cykaty i t. p.

Zachód tego wszystkiego nie zna; bowiem, w użyciu są tam farbowane, ugotowane na twardo jaja — jaja, symbol odradzającej się wiosny natury. Pozatem jada się codziennie gorące obiady świąteczne, lepsze i obfitsze od codziennych. Mimo sumiennych poszukiwań w książkach i czasopismach gospodarczych, nigdzie nie natrafiłam na ślad jakiegokolwiek specjalnej potrawy wielkanocnej francuskiej, angielskiej, niemieckiej lub włoskiej. Musimy więc uważać Świecone za obyczaj narodowy, który starannie przechowywać należy.

Ma ono jeszcze różne inne dobre strony: daje wypoczynek dwudniowy a czasem dłuższy kucharce, rok cały codziennie przy gorącej blasze pracującej, a pani domu daje możność przyjęcia krewnych i przyjaciół bez oddzielnich, specjalnych przygotowań, bez gorącego obiadu i kolacji. Jeżeli dodamy do tego, że wyborne, bez końca świeże, ciasta wielkanocne przez czas dłuższy zastępują leguminy i desery, że stanowią pożądaną dodatek do herbaty lub kawy poobiedniej — to doprawdy nie szkoda kosztu, na nie wyłożonego, i pracy około ich upieczenia. Mówię tylko o ciastach, gdyż mięs w innej może formie, bo na gorąco, i takby się zjadło przy lepszych obiadach i kolacjach świątecznych.

Kto chce uniknąć przykrości, wynikających z nieudania się Świeconego, niech nabędzie książeczkę p. t.

„Ciasta Wielkanocne”

która podaje łatwe i niekosztowne sposoby przyrządzania ciast.

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysłać Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99.
po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O.
T-wa Wydawniczego „Bluszc” Nr 13.555.

Chodzi więc tylko, aby ilości tych mięsów i ciast dostosować dokładnie do potrzeb naszej rodziny i do zawartości naszej kieszeni. Duże oszczędności można wprowadzić przede wszystkim w dziale trunków, jeżeli zamiast kupnych likierów i win do ciast damy domowe nalewki i wina owocowe, a wódki zaprawimy w domu. Dalej, kogo nie stać na indyki i pulardy, niech się kontentuje cielęciną i sztufadą. Szyńka jest jakby częścią nietykalną wielkanocnego stołu; można ją jednak usaletrować i zamarynować w domu, a będzie ściśle połowę tego kosztowała, co kupiona gotowa.

No, a ciasta należy naturalnie piec chociaż raz do roku w domu. W tym roku jaja będą zapewne bardzo drogie, trzeba się będzie trochę ograniczyć w ilościach pieczywa. Jednak oszczędne gospodynie mogą zawsze brać nieco mniej jaj, niż podane w przepisie, zastępując je nieco większą ilością masła, lub biorąc śmietankę zamiast mleka przy rozczynianiu ciasta. I jeszcze należy pamiętać o tem, aby w imię samowystarczalności, w imię uzdrowienia naszego, ciężko chorego bilansu handlowego, używać jaknajmniej bakali, migdałów i innych produktów zagranicznych. Krajowe orzechy, cykaty, suche konfitury, czekolada i mak — dają każdej pomysłowej gospodyni możność przyrządzenia przeróżnych smacznych placków i mazurków.

Pozostaje jeszcze kwestja męczącej pracy około przyrządzenia tych wszystkich smakołyków. Tutaj powinna przyjść z pomocą dobra, umiejętna organizacja i podział pracy, rozłożony na czas dłuższy. Wszelkie zakupy powinny być zrobione zawczasu, szczególnie zakupy produktów suchych: mąki, cukru, bakali, czekolady, a nawet jaj i masła, gdyż nie robimy sobie iluzji, że jaja dużo stanowią, jeżeli chłody dalej będą trwałe. W ostateczności zostawimy zakup ich na ostatek, lecz nie odkładajmy go do wielkiego tygodnia.

Drób też na balkonie lub chrzan za oknem może wisieć dni dziesięć, a nawet dwa tygodnie, szczególnie w tym roku, kiedy i Wielkanoc wczesna i wiosna spóźniona. Sztufada, baranina i t. p. mogą leżeć w marynacie też dni dziesięć, już nie mówiąc o mięsiwie saletrowanem, które powinno się marynować nie mniej, niż dwa tygodnie.

A w wielkim tygodniu mazurki wypieczemy we środę, pasztet i torty — we czwartek, w piątek ugotujemy szynkę i upieczemy ciasto drożdżowe; w sobotę, bardzo wczesnym rankiem — wszelkie pieczone mięsowo. Po południu będzie czas na ufarbowanie jaj, ubranie ciast i ustawienie stołu.

W taki sposób ani pani, ani kucharka się nie przepracują, przytem będą miały czas zajrzeć do kościoła i pójść na groby, co jest również rdzennie polskim obyczajem, którego zaniedbywać nie należy.

Pani Elżbieta.

WSKAZÓWKI NA CZASIE

Niejednokrotnie zapytywana o różne sekrety gospodarskie, podaję niektóre dla użytku ogólnego moich czytelniczek, pewna, że im się przydadzą, zwłaszcza przy zbliżających się świętach.

Na dwa kilo mąki do wykwentnego ciasta bierze się drożdży 18 dk; na zwyczajne placki, bułki i t. p. na tę samą proporcję — 10 dk. Na wszelkie wodne, bez żadnych dodatków prócz wody, mleka lub serwatki — 5 dk. na 2 kilo. Przy pieczeniu ciasta drożdżowego trzeba pamiętać, że głównymi warunkami udania się, są: dobroć produktów, świeżość drożdży i temperatura miejsca, w którym odbywa się rozczynianie, a także i wyrabianie ciasta, najważniejszy jednak warunek to temperatura pieca. Pokój, w którym ciasto przyprawiamy, powinien mieć od 22 do 24 st. Reaumura. Gdy ciasto nie chce rosnać, trzeba dosypać nieco sproszkowanej sody oczyszczonej. Jeżeli przy parzeniu cięście przez nieumiejętne rozrobienie go uformują się krupki, trzeba ciasto przetrzeć przez sito, a dodawszy mąki, dopiero rozczyniać.

Dobroć drożdży poznaje się po kolorze jasnym, zapachu właściwym (zepsute drożdże są bardzo cuchnące). Jeżeli kilka kropel drożdży, rozpuszczonych w letnim płynie, wpuścimy do wrzącej wody, a nie opadną na dno, lecz na wierzch wypłyną, a także, ukrajane z całego kawałka, nie kruszą się ani lepia, ale dzielą w równe kręgi, jakby słoje drzewne — wtedy są świeże. Drożdży nie rozrabia się nigdy gorącym płynem, tylko letnim, zaparzone bowiem tracą moc.

Wszelkie dodatki do ciasta trzeba zawczasu przygotować i wygrzać; jaja podczas ubijania powinny stać w naczyniu z gorącą wodą; rodzyńki sypie się w ciasto na samym końcu i tylko mięsza z niem lekko, gdyż nawet najlepiej umyte i przebrane, wygniatane z ciastem, nadadzą mu brudny kolor.

Masło sklarowane wlewać trzeba po dokładnem wyrobieniu ciasta. Powinno być bardzo ciepłe, prawie gorące, żeby rozgrzało ciasto, wystudzone długiem wygniataniem. Czy ciasto dość gęste, poznaje się, ścisnąwszy w rękę trochę ciasta: jeżeli gałka, która uformuje się ponad dłonią, nie rozlewa się i nie ścieka — to dobre — w przeciwnym razie trzeba dodać mąki.

Piec do słodkiego drożdżowego ciasta powinien być gorący, jeżeli bowiem ciasto zbyt długo siedzi w nie dosyć gorącym piecu, czerwienieje, a duże bąbelki opadają. Czy ciasto upieczone, poznajemy, wkładając w środek cienki patyczek lub grubą słomkę: jeżeli patyczek wyjdzie suchy, a ze słomki wyciśnięta masa jest dopieczona — ciasto ma dosyć; jeżeli patyczek lepi się, a wyciśnięta masa jest kleista — trzeba jeszcze pozostawić ciasto w piecu.

Odpowiednio rozgrzany piec jest jednym z naj-

ważniejszych warunków udania się pieczywa. Ciasto drożdżowe potrzebuje najgorętszego pieca.

Z drożdżowych ciast baby wymagają silnego gorąca, parzone — jeszcze silniejszego, tak gorącego, jak na razowy chleb. Po drożdżowym cieście idzie francuskie, następnie parzone bez drożdży, „ptysiowem” zwane. Później, ciasto kruche, potrzebujące równego, dobrego, ale mniej gorącego pieca. Dalej, wszystkie ciasta, których podstawą są jaja; potem ciasta na pianie, jak merengi, makaroniki i inne, potrzebujące więcej wyschnąć, niż się upiec.

Żeby ciasto nie czerstwiało zaprędko, trzeba ciepło posmarować masłem deserowym i grubo obsypać cukrem-pudrem, a po zupełnem wystygnięciu włożyć zpowrotem do formy. Tak zabezpieczone, kilka tygodni nie traci świeżości.

Chociaż teraz rzadko gdzie się zdarza, aby pieczono większą, niż koniecznie potrzeba, ilość ciasta, jednakże głównie dla wiadomości Pań ze wsi podają dwa sposoby odświeżenia starej babki. Owinać ją zwilżoną bibułą, a następnie wstawić do gorącego pieca. Sposób drugi, lepszy, niż poprzedni: skroić cienko zrumieniony wierzch babki, skropić ją mocno cukrem, rozpuszczonym w araku (na czubatą łyżkę cukru — kieliszek od wina araku lub wina białego); tak zwilżoną babę wstawić na 20 minut w dobrze gorący piec, stosując w dodatku sposób owinięcia całej w wilgotną bibułę. Baba będzie lepsza, niż świeża, gdyż nasiąknie arakiem i cukrem.

Bardziej pożyteczne jest odświeżanie starych bułek, o które w okresie świątecznym nie trudno. Robi się to w sposób następujący: wziąć starą bułkę, całą prędko umoczyć w zimnej wodzie i zaraz włożyć do gorącego pieca. Pilnować, żeby się nie spaliła; po dziesięciu minutach, gdy obeschnie, będzie smaczna i chrupiąca, jak świeża. Odświeżać trzeba pieczywa tyle tylko, wiele na raz potrzebujemy: nie zużyte, zeschnięte jeszcze bardziej i będzie już zdatne tylko do tarcia.

Kruche ciasto, pod mazurki używane, jest dużo smaczniejsze, jeżeli do zwykłej proporcji dolożymy na 40 dk. mąki cztery żółtka, ugotowane na twardo, które, przetarte przez maszynkę, wgnieciemy w ciasto.

Wanilia jest jedną z ulubionych przypraw do ciasta. Prawdziwą kupuje się w strączkach koloru ciemno-brunatnego. Zapach jej łatwo się ulatnia, należy przeto przechowywać ją w szklanych rurek, szczelnie zakorkowanych. Ponieważ są różne gatunki wanilji, trzeba, kupując, wybierać najlepsze, których strączki długie, pełne, aromatyczne, pokryte kryształkami, wilgotnawe i miękkie nie brudzą palców. Strączki najlepszej wanilji mają do 25 cm. długości, krótsze — chude i twarde, są owocem gorszego gatunku. Aby nie stracić najcenniejszej własności wanilji, to jest jej zapachu, trzeba odpowiednio z nią postępować, a zatem nie suszyć, bo aromat się ulotni.

Do codziennego kuchennego użytku najlepiej mieć szczelnie zamykaną blaszaną puszkę, w której trzymać będziemy cukier mialki osiany, z kilkoma łaskami świeżej wanilji — w ten sposób cukier przejdzie jej zapachem; używając go, dosypywać świeżego. Do ciasta trzeba połamać łaskę na kawałki i utłuc, jak zwykle; gdy już dobrze rozbita, wrzucić w nią kilka kawałków cukru rąbanego z głowy i ucierać ją tłuczkiem w moździerzu, póki wszystko nie zamieni się w mialki proszek; osiewać przez gęste sito, tłuc powtórnie i znów osiewać. Pozostałe grubsze kawałki można wsypać do butelki i zalać najlepszym spirytusem, a otrzymamy wyborną esencję waniljową.

Aby obrać migdały ze skórki, trzeba zagotować w rondlu dużą ilość wody, wrzucić migdały w ukrop, ściagnąć z ognia i zostawić we wrzątku na chwilę; następnie prędko obciągać ze skórek, przelać zimną wodą i osuszyć na serwecie. Migdałów nie można gotować, bo tracą kolor i słodycz, ani mleć, póki wilgotne.

Skórkę z cytryny i pomarańczy obciera się na tarce, uważając, aby nie zetrzeć białej spodniej błonki, ponieważ nadałaby ciastu smak goryczy; można również ocierać kawałek cukru o skórkę, a następnie zeszkrobać nożem żółkniętą powierzchnię i użyć do ciasta.

Pianę można bić trzepaczką drucianą, albo widelcem; ubicie jej zależy od dobrego oddzielenia białek, świeżości jaj, umiejętnego bicia i idealnej czystości naczyni. Mylnem jest twierdzenie, że pianę ubić można tylko w zimnie; najważniejszym jest, aby była ubijana od początku wolno (zamydlona), a potem równo, tak, żeby falowała. Za szybkie i za raptowne rozbijanie białek, albo tłusta, nieczysta miska i trzepaczka — są najczęściej przyczyną, że piana ubić się nie daje.

Trudny ogólnie do udania lukier pomadkowy smaży się w sposób następujący: kilo i 20 dk. cukru, najlepiej z głowy (z kryształu pomadki się nie smaży), zalać trzema szklankami wody gorącej i zagotować na ostrym ogniu, szumując starannie. Gdy cukier się sklaruje, wlać łyżkę octu, umaczać pendzelek w zimnej wodzie, zwilżyć nim kilka razy rondel nad powierzchnią syropu, a nakrywszy szczelnie, tak, żeby się para nie ulatniała, zagotować kilka razy na ostrym ogniu, byle nie zadługo. Syrop na pomadkę gotuje się „do nitki”, próbując w sposób następujący: po dodaniu octu, gdy cukier się zagotuje, zanurzyć w nim patyczek, który później zaraz umoczyć w zimnej wodzie. Po chwili zdjąć palcami z drewnianka osiadły na niem cukier, a trzymając palce w zimnej wodzie, tulać nim: jeżeli utworzy się miękka gałeczka — pomadka gotowa; jeżeli zaś twarda, jak kamień, to cukier jest przegotowany i już nie zdatny. Gotowy syrop zdjąć z ognia, wylać zaraz na miskę porcelanową lub kamienną, a gdy zacznie zastygać, nową łyżką drewnianą lub wałeczkiem ucierać go,

dopóki nie zgęstnieje i nie zbieleje.

Chcąc użyć pomadki na lukier, trzeba ją rozrzedzić wodą różaną, maraskinem lub sokiem z cytryny. Do zalewania mazurków, marcepanów i t. p. używać gęstej pomadki, nadając jej odpowiedni kolor.

Do zabarwienia pomadek używa się: na różowy kolor — alkiermasu lub karminu; na pistacjowy (zielony) — bretonu francuskiego zielonego; na pomarańczowy — bretonu żółtego. Farb, choćby nieszkodliwych, należy używać bardzo ostrożnie, zaledwie po kilka kropel.

Robiąc tort przekładany, po upieczeniu okrągłego placka przekroić go nitką na dwie lub trzy części. W tym celu wziąć nitkę ze szpulki, otoczyć nią tort, wziąć prawą ręką obydwie końce nitki i pociągnąć do siebie: ciasto przetnie się równo i gładko.

Merengi i makaroniki, pieczone na woskowanym papierze, po zdjęciu z blachy lekko pod spodem zwilżyć, a papier odejdzie natychmiast. J. S.



ROLADA Z PROSIECIA NA ŚWIECONE.

Rodzaj rolady, który tu opiszę, i który specjalnie się nadaje na stół Wielkanocny, różni się tem od rolady zwykłej, że się mięsa nie zwija i po ugotowaniu nie naciska deską i kamieniem, lecz, przeciwnie, nadziewając prosię, stara się mu nadać i zachować kształt całego zwierzątka. Rozpłatać nieduże, lecz białe i tłuste prosię, pozostawiając przy niem w całości główkę i nóżki. Mięso całe, wraz z kośćmi i dróbkami, wyjąć. Do mięsa dodać podwójną ilość cielęciny i połowę ilości słoniny, zemleć to na maszynie, dodając na kilo mięsa piętnaście deka bułeczki, moczzonej w mleku, i trzy jaja surowe. Osolić do smaku, dodać trochę białego pieprzu i — kto lubi — gałki muszkatołowej. Wnętrznosci prosiaka — czyli wątrobę, serce i nerki — udusić oddzielnie, dodając cztery razy tyle (na wagę) wątróbki cielęcej, parę dużych cebul i dobry kawał boczku. Po uduszeniu dodać bułeczki, jak do pierwszego farszu, przepuścić przez maszynkę, dodać korzeni, soku cytrynowego, kieliszek wina, jaj i korzeni, jak na farsz do pasztetu. Oprócz tego przygotować kilka jaj, ugotowanych na twardo, ładnych zielonych korniszonów, szynki lub ozora, krajanych w plastry, słoniny lub boczku, krajanych w paski. Naprzemian obu farszami i innymi dodatkami napełniać skórę prosięcia, zaszyć grubymi nićmi, podchylić nóżki, ułożyć je tak, jak do pieczenia, posma-

rować sokiem cytrynowym, aby skóra pozostała biała, owinać cienką szmatką, obwiązać kilkakrotnie szpagatem. W wanience od ryb ugotować smak z kości prosięcia i włoszczyzny, dobrze osolić, włożyć prosię i gotować dwie godziny, lub nieco więcej, od chwili zagotowania. Wyjąć ostrożnie, aby nie zepsuć kształtu; gdy napół zastygnie, rozwinąć z płótna, umaczać je w occie i napowrót zawinąć roladę. Smak wygotować do połowy; jeśli jeszcze nie dosyć mocny, zaprawić żelatyną, zakolorować karmelem na bladoczysty kolor, jeśli niedość czysty, sklarować białkiem i przecedzić. Galaretę tę zlać do miseczki i zastudzić. Podając na stół, płótno zdjąć, ostrym nożem pokrajać prosię na plastry, złożyć znów w całość, ułożyć na długim półmisku od ryb. Wkoło obłożyć posiekaną w kostkę galaretą i zieloną rzeżuchą. Do takiego prosiaka podać sos musztardowy, tatarski lub chrzan ze śmietaną i octem.

OZÓR NA ŚWIECONE.

Duży, ozór wołowy natrzeć mocno solą, zmieszaną z utłuczonymi korzeniami, pieprzem, zielem, listkiem, paru goździkami, kolendrem i saletą (łyżeczka od kawy). Ozór włożyć w głęboką miseczkę, przycisnąć deseczką i kamieniem. Trzymać w pokoju dwa do trzech dni, dwa do trzech razy dziennie przewracając coraz to na inną stronę. Wynieść do chłodniejszej spiżarni i trzymać w niej jeszcze tydzień, aby dobrze nasłoniał. Wyjąć wtedy z rosółu, który się uformuje, obetrzeć starannie i dać do wędzarni, obwędzić przez godzin sześć, poczem może wisieć w spiżarni przez parę tygodni. Na dni parę przed świętami wymoczyć go przez noc w zimnej wodzie, ugotować do miękkości z włoszczyzną i korzeniami, dać zastygnać. Krajać w cieniułne plastry i podawać pomiędzy innymi, zimnymi mięsami do chrzanu z octem lub sosu majonezowego.

SZTUFADA NA ŚWIECONE.

Trzy czy cztery kilo pięknej zrazówki zbić mocno, zalać przegotowanym z korzeniami i ostudzonym octem po połowie z czerwonym winem. Trzymać w tej marynacie trzy do czterech dni (na chłodzie może leżeć tydzień i więcej). Wyjąć mięso z marynaty, obetrzeć ściereczką, naszpikować dosyć grubo pokrajaną, popieprzoną słoniną, uważając, żeby paski słoniny przechodziły mięso z brzegu do brzegu. Zrumienić w rondlu szmalec lub topioną słoninę, włożyć na nie osoloną dobrze sztufadę. Zrumienić ze wszystkich stron na mocnym ogniu. Następnie włożyć sporą garść marchwi, pokrajanej w paski, tyleż cebuli, buraka, po kawałku selera i pietruszki. Wrzucić pieprzu, ziela, listka, parę goździków i dusić wolno, podlewając marynatą z mięsa. Dodać jeszcze grzybek lub parę pieczarek, trochę otartej skórki cy-

trynowej. Gdy mięso zupełnie zmięknie, pieczeń wyjąć i natychmiast wynieść na chłód, aby raptownie stygnąć po wierzchu, pozostała kruchą i soczystą wewnątrz. Smak i włoszczyznę, pozostałe w rondlu, rozprowadzić rosołem lub wodą, żeby było tego ze trzy szklanki; przetrzeć przez sito, dodać ze cztery listki żelatyny i zastudzić. Przed podaniem tłuszcz z tej galarety starannie zdjąć, pokrajać ją w plastry i ubrać sztufadę, ułożoną na półmisku, pokrajaną i znów w całość ułożoną. Do takiej pieczeni podaje się wszelkie zielone i jarzynowe sałaty, pikle, korniszony, grzybki i ostre soje i sosy.

PIECZONA SZYNKA Z CIEŁĘCINY.

Cielęcinę zamarynować na dziesięć dni — dwa tygodnie przed Wielkanocą, biorąc na pięciokilową ćwiartkę ćwierć kilo soli, pół deka saletry, po jednym deka pieprzu i ziela, kilka goździków i listków. Korzenie, grubo utłuczone, zmięszać z solą i saletrą, dodać trochę całych ziarn kolendru. Natrzeć tem mocno cielęcinę, włożyć w garnek lub dzieżkę, posypać resztą, przycisnąć deseczką i kamieniem. Przewracać codziennie. Gdyby było mało rosołu, zalać osoloną i przegotowaną wodą, aby objęło. Przed użyciem namoczyć na noc w zimnej wodzie. Zrana osuszyć ściereczką, naszpikować wędzoną słoniną i upiec, jak zwykłą pieczeń cielęcą, z masłem lub szmalcem. Na dopieczeniu posypać grubo bułeczką i dać tej bułeczce ładnie się zrumienić. Krajać w cienkie plastry i podawać, jak zwykłą szynkę, z sosem majonezowym, tatarskim lub z chrzanem i octem. W smaku jest od szynki wieprzowej delikatniejsza.

PRZEKŁADANIEC CZYLI DZIAD.

Dwiema szklankami mleka rozczynić trzy szklanki mąki, kładąc w to aż sześć deka drożdży: trzeba ich bardzo dużo, bo przekładaniec jest ciężki i trudno podraść. Wybić mocno i postawić w ciepłe, aby podeszło. Gdy dobrze podrośnie, dodać jeszcze trzy szklanki mąki, siedem żółtek, utartych do białości ze szklanką cukru, pół szklanki sklarowanego masła, soli (łyżeczkę od kawy), skórkę otartą z cytryny, kawałtka wanilji, utłuczonej z cukrem. Wyrabiać z dziesięciu deka oczyszczonych i utartych na maszynce migdałów i piętnastu deka cukru-pudru masę migdałową, jak na marcepany, podlewać po trochu zimnej wody. Porobić z tej masy cienkie wałeczki. Pokrajać w paski kilkanaście daktyli, fig, skórek pomarańczowych i cytrynowych, smażyć w cukrze. Sporo różnych konfitur osączyć z syropu. Gdy ciasto wyrośnie, wysmarować masłem i wysypać bułeczką duży, płaski rondel. Trzecią część ciasta rozciągnąć cienko i wyłożyć niem dno rondla. Na tem cieście układać rzędami bakalje, konfitury i masę migdałową, sypiąc pomiędzy to jeszcze różne gatun-

ki rodzyneków. Pokryć to znów ciastem i znów układać wszelkie dodatki w przeciwnym kierunku — to jest, jeżeli pierwszy raz kładliśmy wszystko wzdłuż, teraz będziemy kładli wpoprzek. Przykryć resztą ciasta. Postawić w ciepłe, aby ciasto nieco podrosło. Gdy rondel prawie pełny, wstawić conajmniej na pięć kwadransy w dobrze gorący piec. Gdyby się zanadto rumienił po wierzchu, przykryć zwilżoną wodą bibułą. Po wyjęciu z pieca dać prawie zupełnie ostygnąć w rondlu i dopiero wtedy wyłożyć na pokrytą papierami poduszkę.

BABKA MAKOWA.

Mniej pospolita od innych, białkowych babek. Na piętnaście jaj bierze się do niej trzy szklanki maku, szklankę cukru - pudru, szklankę mąki kartoflanej i dziesięć gorzkich migdałów, oparzonych i oczyszczonych z łupin. Mak należy ususzyć w letnim piecu i utrzeć na maszynce na zupełny proszek (można to doskonale uskutecznić na „Jupiterze“, biorąc sitko, używane do mielenia kryształu na puder). Żółtka utrzeć w makutrze z cukrem; gdy masa narosnie i zbieleje, dodać mak i ucierać dalej; dodać utłuczone drobno migdały. Nakoniec dosypać mąkę kartoflaną i wymieszać ostrożnie z ubitymi na sztywną pianę białkami. Przełożyć do płaskiego rondla, wysmarowanego masłem i wysypanego bułeczką. Upiec w niezbyt gorącym piecu, jak wszelkie ciasto białkowe. Nawpół ostygłą babkę wyjąć ostrożnie z rondla. Nazajutrz polukrować cieniuchno przezroczy-
stym, ponczowym lukrem.

PAPATACZE (na prośbę czytelniczki).

Trzy szklanki letniego mleka, sześć deka drożdży i cztery szklanki mąki zmięszać razem; dodać łyżeczkę soli, wybić doskonale i postawić, aby podrosło. Gdy urośnie, dodać osiem żółtek, utartych do białości z półtora szklanką cukru, wlać szklankę topionego masła, dodać utłuczonego z cukrem kwiatu muskatolowego i tyle mąki, aby ciasto nie było zbyt gęste. Wyrabiać ciasto tak długo, aż nietylko od rąk odstanie, lecz jakby łuskać pod niemi zacznie. Dać podrosnąć powtórnie. Podzielić ciasto na trzy części. Każdą rozwałkować; lub rozciągnąć na cieniuchny placek. Placek posmarować rozpuszczonym masłem, posypać gęsto rodzynekami żółtymi (sultankami) i czarnymi (koryntkami), cukrem drobnym, utłuczonym z cynamonem. Zwinąć to w rolkę, jak zwykle struclę. Ostрым nożem naciąć lekko dwa razy całą długość strucli. Gdy wszystkie trzy struclę gotowe, posmarować je żółtkiem, rozbitym z odrobiną mleka. Pokrajać ostrym nożem na czterocalowe kawałki, ułożyć na blachy i wstawić w dobrze gorący piec. Piekąc się, powinny ładnie się porozwijać w naciętych nożem miejscach. Po upieczeniu, jeszcze gorące, obsy-

pać cukrem i cynamonem i ubrać cykatą i suchymi konfiturami. Bez tych ostatnich dodatków można je też podawać.

MAZUREK BAKALJOWY.

Czterdzieści deka mąki, dwadzieścia pięć deka tłustego masła i piętnaście deka cukru - pudru zagnieść na kruche ciasto, dodając, parę łyżek mleka lub wody, aby się ciasto w robocie nie kruszyło. Rozwałkować na cieniuchny placek, obłożyć wkoło walczykiem z tegoż ciasta, upiec do zrumienienia, ostudzić, nie zdejmując z blachy. Dwadzieścia deka śliwek suszonych oczyścić z pestek, zmięszać z dwudziestoma deka rodzynek sultanskich i dziesięcioma deka fig. — śliwki i figi należy pokrajać w paski. Włożyć w rondel ze szklanką czerwonego wina i szklanką cukru. Dusić na wolnym ogniu, aż wino się wydusi, a owoce nabrzną. Ułożyć te bakalje na kruchem cieście. Dwa żółtka utrzeć do białości z pół szklanką cukru - pudru, dodać skórkę, otartą z cytryny, sok z tej cytryny, łyżkę rumu lub kilkanaście kropel esencji ponczowej, ubite na sztywną pianę białka; posmarować tą masą mazurek i wstawić jeszcze na kwadrans do niezbyt gorącego pieca.

MAZUREK RÓŻANY.

Czterdzieści deka migdałów słodkich oparzyć, oczyścić z łupinek, utrzeć na maszynce, zmięszać dokładnie z czterdziestoma deka cukru - pudru, dwoma białkami i sokiem z dużej cytryny. Wyrabiać długo,

aż się uformuje masa w rodzaju marcepanu. Rozwałkować ją cienko na pół palca, ułożyć na opłatku i upiec w zaledwie ciepłym piecu. Pół kilo cukru - rafinady, lub bardzo grubego kryształu zalać wrzącą wodą tak, aby tylko objęło: gotować, aż się zacznie ciągnąć w nitkę. Odstawić, wcisnąć sok z cytryny i ucierać drewnianą łyżką w jedną stronę, aż zacznie bieleć. Wlać jedną kroplę różanego olejku i trzy krople koszenili lub roślinnego karminu, wymieszać dokładnie. Smarować bardzo prędko tą masą mazurek, gdyż prędko stygnie. Zanim masa stwardnieje, można jeszcze ją posypać cieniuchno pokrajanymi migdałami.

Pani Elżbieta

KURS HODOWLI POKOJOWEJ ROŚLIN.

Zwyczajam dorocznym Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza Kurs hodowli pokojowej roślin.

Kurs obejmie 20 godzin wykładowych i dostarczy wskazówek o pielęgnowaniu, przesadzaniu, rozmnażaniu roślin w mieszkaniach, w zakresie potrzeb miłośników, o pielęgnowaniu roślin ozdobnych z liści (palmy, arakuarje, draceny i t. p.), roślin kwitnących cebulkowych i kłączowych, paproci oraz roślin kwitnących jednorocznych i wieloletnich. Poza tem będzie wykład o zdobieniu balkonów, o zwalczaniu chorób i szkodników, a dla osób, zapisujących się na cały Kurs — ćwiczenia praktyczne przesadzania roślin.

Kurs rozpocznie się dnia 8 kwietnia b. r. Wykłady będą się odbywały w poniedziałki, środy i piątki w lokalu Warszawskiego Tow. Ogrodniczego — Bagatela 5.

Informacji udziela i zapisy przyjmuje: p. Zielińska — Al. Jerozolimskie 45 m. 4 tel. 52-55; p. Wysocka — tel. 140 18, Skład Nasion B-ci Chomicz, Warsz. Tow. Ogrodn. Bagatela 5 — tel. 31-50.

Zachwyt — radość — entuzjazm

wzbudzają pięknie zdobione pisanki na stole wielkanocnym

p. t.

Wzory rysunków, oparte na motywach ludowych, przepisy zdobienia jajek, oraz dane historyczne, dotyczące powstania pisanki i związanych z nią wierzeń ludu — znajdziecie w zeszytach „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”

„PISANKI”

Cena zeszytu 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Nabyć można w Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Pl. Zamkowy 99 Konto P.K.O. 170, i we wszystkich większych księgarniach

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA AGAŃSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY CZOPKI **VARICOL**
 HEMOROIDALNE.
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
 APTEKA AGAŃSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

„kraj” oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak.-Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
 Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Zofja Persowska—Byteń nad Szczarą.

Zapomniani zda się, nieznani szerokim warstwom społeczeństwa — zgubieni wśród piasków i wadołów białoruskich na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej — jesteśmy — żyjemy — trwamy — my, osadnicy wojskowi.

Proszę sobie wyobrazić bezmiar pól, obramowany daleko ciemniejszą wstęgą boru — w środku kilka domków, jak zabaweczek przysiadło do ziemi — i kiedy zmierzch wieczorny zatrze kontury pajęczą nicią mgieł, łącząc ziemię z niebem — wówczas z okienek małych biegnie wskroś ośm blask światła i płynie symbolicznie w pustce — w zawieci, odstraszać wileże gromady, które głód wygnał z głębokich leśnych wnętrzy.

Oto osada, jedna z setek tych, rozsianych szeroko i daleko wzdłuż wschodniej granicy, skrytych w dolinach i zagajnikach, zdala od siebie. Prowadzą te osady żywot odrębny — bezwiednie może w interpretacji nowoczesnej wskrzeszając tradycje dawnych stanic i futorów, owych kolebek niezłomnego, kresowego rycerstwa. Jenó, że miecz przekuty w lemiesz, stał się dzisiaj niedawnym żołnierzom symbolem, który ich zwraca w dnie chmurnej i górnej młodości.

I właśnie w długie zimowe wieczory, kiedy za oknami szaleje śnieżycą, w ciepłej izbie snuje się baśń — nie baśń: opowieść przebytej kampanji bitewnej gdzieś w Karpatach, nad Stochodem czy Styrem — a wtórzą słowom westchnienia kobiece, jaki taki niedorostek krzyknie w zachwycie, w końcu zerwie się piosenka z cyklu tych legionowych, które smutek maskują uśmiechem od ucha do ucha. Wspomnienia te i pieśni urastają do wielkości legendy tutaj, gdzie polska mowa kończy się za granicą osady. Setki mil dzielą nas od stron rodzinnych, od ukochanego kraju dzieciennych lat, kędy pozostali krewni i znajomi. Toż dlatego tak drogie nam są echa, które gdzieś w środkowej Polsce koło Warszawy lub Krakowa przestały być tematem dumań o zmierzchu, jako już spowszedniałe, a nam zastępują wszystko i opuszczoną rodzinę i względny dobrobyt, i tę atmosferę polskości, którą zda się, tam nad Wisłą i Bugiem przepełnione jest powietrze, która bucha tam z różnorodności form tak potężnie, iż chciałoby się uklęknąć i dziękować Bogu za swoją własną wyłączność ojczyznę!

Ach, gdyby nie żywa pamięć epopei wojennej, której triumfalny finał rzucił nas między piaski, na niewdzięczne, jałowe ugory, trudno by było uwierzyć

w naszą posłanniczą rolę: iż jesteśmy pionierami cywilizacji zachodniej, która zniesie z powierzchni ziemi ciemnotę i nędzę białoruskich sąsiadów. Trudno by było wytrwać, a przecież mamy być także strażą wschodnich granic, żelazną i nieprzełamaną, jak owi wichrowaci, rycerni przodkowie, których kośćmi zasłane są całe kresy.

Bo ciężko nam, bardzo ciężko!... A przetrwaliliśmy tyle. Znamy i ziemianki duszne, pełne wilgoci, które na długie lata zabrały naszym dzieciom rumieniec z twarzy, powlekając je chorobliwą bladością. A jeszcze i teraz nie wszyscy mieszkają w domach. Przeszło siedemdziesiąt rodzin osadniczych znajduje się w samej gminie Byteńskiej. Powiat Słoniński cały liczy ich więcej niż dwieście. Domy mieszkalne, przeważnie niewykończone, mało się różnią od ziemianek. Rola piaszczysta, szóstej klasy, nadająca się, według opinii prof. Miklaszewskiego, w większości jedynie pod zalesienie, nie uprawiana od dziesiątków lat, rodzi dosłownie ciernie i głogi, wymagając ogromnych wkładów i pochłaniając je. Gdy zaś nastąpi rok suchy, jak np. ostatni, nie daje nawet tyle, ile potrzeba, aby wyżywić rodzinę. Stąd ciężkie przednówki, formalny głód, nawiedzający dom osadnika i sprawiający, iż on, posiadacz przeszło 20 ha. ziemi, niema często kawałka chleba dla dzieci, z braku ciepłego ubrania uwięzionych długie miesiące zimowe w dusznej i ciasnej izbie.

Cóż dziwnego, że mniej wytrwali osadnicy skarżą się, buntują, że wszystkie oczy z utęsknieniem zwrócone są w stronę dalekiej Polski, jak popularnie nazwano okolice, gdzie upłynęło dzieciństwo i młodość nasza. Z „Polski“ otrzymuje się listy i pomoc wszelkiego rodzaju, od rodziny, do „Polski“ jedzie się po służbę, inwentarz żywy, wreszcie słowo otuchy z ust bliskich a drogich. „Polska“, wyidealizowana tęsknotą w samym określeniu słownem, które skwapliwie chwytają uszy, gra jak modlitwa i jawi się w kształt bajki czarownej duszom strudzonym walką o byt. I nie może być inaczej. Bezplonna praca a z niej płynący wieczny niedostatek, brak gotówki na „czarną godzinę“, choroby, to jedna tylko strona zła, uzupełniona z zewnątrz falą różnego rodzaju niedopatrzeń społecznych, odbijających się najfatalniej nie tylko na stanie naszych osad, ale i na ludności białoruskiej. Do tych niedopatrzeń należy w pierwszym rzędzie obojętność, z jaką władze administracyjne traktują sprawy osadnicze i nas samych. Stąd w konsekwencji coraz gorsze warunki, niemożność ułatwienia sobie życia i pracy i perspektywa

dobrobytu, będąca osłoda naszych ciężkich roboczych dni, miast przybliżyć się, ciągle pozostaje daleka niezmiernie. Tyle mogił przybyło na cmentarzach. Odeszły w wieczność niestrudzone do ostatnich chwil pracownice: żony, matki, najczęściej umarłe w położu lub po położu, bez pomocy lekarza i egzaminowanej położnej. Lekarz!... — ach! Trudno żądać, by za kilka złotych, bo tylko tyle jest najczęściej w domu, trudził się podczas siarczystego mrozu lub w burzliwą noc jesienną, do którejś z leżących pośród pól i lasów osady...

Tymczasem śmierć, dla której nie istnieje odalenie, brak pieniędzy, fatalna aura, czy inne, mniej lub więcej ważne kwestje, nie czeka i oto umierają starsi bez pociechy religijnej, dzieci bez chrztu, jak na jakiejś Syberji, odciętej tysiącami wiorst od cywilizacji. Obecnie kwestja zdrowotności mieszkańców Byteńszczyzny w promieniu kilkunastu wiorst przedstawia się jeszcze rozpaczliwiej. Od miesiąca bowiem, po wyjeździe lekarza rejonowego, jesteśmy zupełnie pozbawieni opieki lekarskiej a epidemia grypy szaleje wprost, zataczając coraz szersze kręgi. Bogatsi sprowadzają lekarza ze Słonima, Baranowicz, Żyrowic, biedniejsi, do których liczymy się my osadnicy, muszą cierpieć i umierać.

Również ciężko nam jest bez szkoły, bo czyż można myśleć o wysyłaniu dzieci do szkoły 10 — 15 kilometrów. A taka jest przeciętna odległość do szkoły. Więc młodsze wcale się nie uczą, starsze wysyła się, jeśli można, do rodziny, do „Polski“, lub zamyka się wogóle rozdział ich edukacji, często więcej niż nie wystarczającej.

Ale co nas najwięcej boli, co chciałabym, aby jak krzyk serca poruszyło dalekie siostry czytelniczki z Warszawy, Krakowa, z całej Polski — to brak pociechy religijnej. Matki kładą do trumienek nieochrzczone maleństwa, starsi żyją bez nabożeństwa. W każdej prawie wiosce jest cerkiew, ale do kościoła jechać muszą osadnicy po 18 i więcej kilometrów!

Z groszowych składek, z dochodów za przedstawienia amatorskie przez nas urządzone, rozpoczęliśmy przed trzema laty budowę kościółka. Stoi już jego zrąb, ale na dalszą pracę brak funduszków zupełny i nie wiemy jak go wykończyć, za co. Do Bytenia był wyznaczony przez arcybiskupa metropolitę wileńskiego ksiądz. Przyjechał, ale... rozejrzawszy się w miejscowych warunkach wyjechał, aby nie powrócić. Smutne to, nawet i księża uciekają od nas. Obecnie nominacja proboszcza uzależniona została od wykończenia kościoła, a my go wykończyć nie możemy.

Nie mam zamiaru nikogo oskarżać, bynajmniej, stwierdzam tylko fakty najsmutniejsze i najprawdziwsze zarazem, będące tutaj na porządku dziennym. Kardynalne ich przyczyny u nas, osadników, łatwo wysledzić. To właśnie owa niewdzięczna, jałowa ziemia, która nic nie daje, a pochłania wszystko, i siły i zdrowie i energję i pieniądze, otrzymane w formie pożyczek krótko i długoterminowych z Banku Państwowego. Tak jest szczególnie w Byteńszczyźnie, tak jest w większej części powiatu Słonimskiego. Jakże musi być ciężko, gdy energiczniejsi marzą tyl-

ko o tem, by wydzierżawić, czy po otrzymaniu aktu nadawczego, sprzedać działkę i... gdzieindziej szukać pewniejszego chleba. Może to w większości nie zupełnie szczerze, może wywołane chwilą depresji, niemniej jednak myśl ta nurtuje w mózgach, bywa przedmiotem długich, wyczerpujących rozmów, działa destrukcyjnie.

A przecież nie dlatego państwo rozdało setki hektarów ziemi, nie na to polskiego żołnierza, posłało między lub białoruski.

Jednostki obdarzone dobrem sercem i dzielną inicjatywą wspomagają niedolę ludu białoruskiego, jak to czytamy w „Bluszczu“, ale obok tego ludu, my, osadnicy żyjemy w większości wypadków nie w lepszych warunkach a mamy przecież ojczyznę, „która także kochać nas powinna“. Przecież pracujemy na własnej ziemi, nie jesteśmy sami, miliony tam, w środkowej Polsce całe swe siły, wiedzę i energję poświęcają sprawie ojczystej. Dla nich to właśnie zobrazowałam nasze tutejsze życie.

Potrzebna jest nam pomoc. Tę materialno - administracyjną, na szeroką obliczoną skalę, mamy nadzieję, że da nam państwo, ale potrzeba nam i otuchy, pomocy moralnej, uczucia, że społeczeństwo wie o nas, pamięta, współczuje naszej doli i pracuje nad ulżeniem jej. O tę pomoc wołam do was siostry szczęśliwsze, w sercu Polski zamieszkałe. Myślcie o nas, mówcie w Stowarzyszeniach waszych, w pismach, poruszcie opinię społeczną.

Czekamy, pełni ufności, że Rzeczpospolita nie pozwoli nam zginąć, ani cofnąć się z zajętych postępek, gdyż częścią jej integralną i strażą przednią jesteśmy.

W odpowiedzi p. J. Jezierskiej w sprawie równouprawnienia honorowego kobiet.

Odpowiadając P. J. Jezierskiej na pytania, zadane czytelniczkom „Bluszczu“ w artykule „Trzeba przemówić“, grono urzędniczek Sądu Okręgowego w Sosnowcu, wspólnie prenumerujących „Bluszcz“, wypowiada się w sposób następujący:

1) Bezwzględnie należy dążyć do reformy satysfakcji honorowej nietylko w myśl uznania kobiety, jako człowieka honorowo odpowiedzialnego za swoje uczynki i słowa, lecz również w imię ukulturalnienia, wysubtelnienia i uszlachetnienia obyczajów społeczeństwa wogóle.

2) Wyjątków być nie powinno. Każda kobieta pełnoletnia i zdrowa umysłowo musi być odpowiedzialna honorowo.

3 i 4) Jako formę udzielenia i uzyskania satysfakcji dla kobiety i każdego człowieka uznajemy: a) przeproszenie czy też przyznanie się do winy w prasie, lub wobec grona osób zainteresowanych, ewentualnie tych, które wskaże strona poszkodowana; b) odpowiedzialność przed sądem koleżeńskim, czy honorowym, o ile dana osoba należy do zrzeszenia koleżeńkiego, klubu towarzyskiego, kółka sportowego i t. p.

5) Sądy honorowe już istniejące, jak również w tym celu nowoorganizowane powinny poprzeć tę ideę żywym namacalnym czynem, — nie drzemiąc

w oczekiwaniu oburzających i ohydnych postępów osób im podlegających, lecz udzielać napomnień nawet za niewielkie kobiece nasze uchybienia, ażebyśmy pracowały nad sobą, stopniowo pozbywając się naszych drobnych, a tak przykrych dla otoczenia, wad — zbyt długich, ruchliwych i kaśliwych języczków.

M. Kasprzykowa, M. St. Miedziejewska, St. Niedbalówna, J. Klimasówna, Z. Grabiańska, Z. Kossuthowa, J. Radzyńska, M. Tarnowska.

P. H. L. z Warszawy w odpowiedzi P. S. Dzieciołowskiej—Wejherowo.

Poruszyła Pani tak ciekawy temat w swym artykule, że nie mogę nie dodać paru swych uwag, nasuujących się nieprzewartą siłą pod pióro.

Zagłębiwszy się w zagadnienie „prawdy” jako takiej, musimy stwierdzić, że dobrodziejstwa jej są ogromne — ale.. życie nasze tak mało przystosowane jest do prawdy, tak się boi jej wyjawienia, tak ucieka od niej, że szczerze patrząc na istotę rzeczy — prawda ta najprawdziwsza — istnieje w legendzie. Nikt się nią dziś i dawniej nie posługuje — gdyż ona „nie popłaca” przeciwnie, czyni z ludzi prawdomównych wrogów, rewolucjonistów, wicherzycieli! Propagatora prawdy przeważnie uważają za warjata, którego trzeba zamknąć, bo jest zbyt niebezpieczny dla społeczeństwa! To naga prawda!

Ale mimo takiego patrzenia na rzeczy, jestem zdania, że właśnie dlatego walkę z kłamstwem musimy zacząć i tępić to zło, które z kłamstwa i blagi się rodzi. Przestańmy być takimi egoistami i tchórzami! Temat to tak rozciął, iż trudno mi w krótkim artykule rozwinąć się obszerniej, chcę tu tylko pomówić o prawdomówności kobiet w ich najbliższym gronie. Obserwując życie ludzkie, doszłam do wniosku, że „prawdą daleko nie zajdziesz”.

Trzeba mieć dużo odwagi, by prawdą iść przez życie. My kobiety — specjalnie umiłowaliśmy błagę i kłamstwo. Prostu lubujemy się w nieprawdopodobieństwach opowiadanych historii, przedstawianiu faktów inaczej, niż się one mają w rzeczywistości. My walczymy niegodnie tą bronią — i to nam przynosi wstyd i szyderstwo. O złym i kłamliwym języku kobiecym bardzo wymownie wypowiedział się Makuszyński — nie bez słuszności piętnując „podły” język babski, który kłamiąc, oczerniając i plotkując, ot tak, dla zabicia czasu, wyrządza często bliźniemu niepowetowaną krzywdę. I uderzmy się w piersi, my, kobiety i przyznajmy raz szczerze i otwarcie do grzechu częstego przeciw prawdzie. Popelniamy go z braku odwagi najczęściej, lub z zamiłowania do plotki. Niema szczerości między nami — ani umiejętności trzymania języka za zębami w chwili, gdy sytuacja tego wymaga. Słyszysz się między swymi towarzyszkami częste powiedzenie: „Ależ, kto dziś komu mówi prawdę? — wyśmieliby mnie!”. Najbliższe przyjaciółki, póty są niemi, póki nie powiedzą sobie prawdy — gdy są szczerze — stają się wobec siebie wrogami! Tak jest. My nie jesteśmy jeszcze odpowiednio przygotowane, by słuchać prawdy i żyć szczerze,

otwarcie, bez obłudy. Lecz zadaniem naszym powinno być unikać kłamstw, fałszu, hipokryzji i niepotrzebnych słów — tej gadatliwości, która nas ośmiesza, a wtedy będziemy bardziej wyrozumiale i ludzkie dla innych nie tylko dla siebie. Żyjemy w zgodzie z prawdą a wtenczas i ona nie będzie nam ciężarem. Uczmy się mówić prawdę w formie delikatnej, oględnej, bez robienia nią przykrości drugiemu — niech to nie wpływa z chęci dokuczenia bliźniemu — lecz z wewnętrznego nakazu sumienia, że tak jest dobrze i uczciwie. Ludzie uciekają ciągle jeszcze od zbytnio prawdomównych — boją się ich, bo nie chcą się narażać na konflikty! Otóż to, tu jest sedno sprawy — nie narażać się na konflikty z powodu odsłonięcia prawdy!

Ogólnie tak zabrnęliśmy w kłamstwo, tak w niem po uszy tkwimy, że odrzucić je, zniszczyć, wykorzenić go z siebie nie jesteśmy w stanie, nie chcemy — bo to wymaga ogromnego trudu i żelaznej woli i siły charakteru!

Całe życie trzeba zmienić, by hasło: „Żyj prawdą i mów tylko prawdę” stało się wykonalnym.

My kobiety, powinnyśmy jednak do tego przeobrażenia pojęć dzisiejszych przystąpić i zacząć walkę o prawdę! Uczyć dzieci nasze i całe otoczenie poszanowania dla prawdy i mówienia jej — wykorzeniajmy z siebie naleciałości kłamstw, zaczniemy żyć jasno i zgodnie z sumieniem — wypowiedzmy wojnę nędnym plotkom, oszczerstwom i bajkom — które przynoszą często krzywdę niewinnym.

Za dewizę weźmy sobie hasło: precz z plotkami i babskim gadulstwem, wścibstwem i nieszczerością. Żyjmy tak, by nie było powodu do kłamstw i oszukiwań — bierzmy życie takim — jakie ono jest w rzeczywistości, piękne i bujne — szczerze i bez obłudy, którąśmy stworzyli — a wtedy zobaczymy, że żyjąc w prawdzie, unikniemy najprzykrzejszych rozczarowań i ciężkich chwil w życiu.

Kobiety — gdy chcą — są zdolne do wielkich poświęceń i gdy sobie powiedzą: wytrwam w swym zamierzeniu, często dochodzą do zwycięstwa.

Przyrzeknijmy sobie, my silne i odważne jednostki, piętnować w społeczeństwie zło kłamstwa. dusić je w zarodku i propagować ideę prawdy! Niech ona rozświećla nam mroki przyszłości — niech nam pozwoli ujrzeć strony bytu lepsze — mniej skomplikowane i czystsze.

Bo choć z prawdą może czasem źle, bez niej jeszcze gorzej.

P. S. z Jurgowa w odpowiedzi p. Wandzie T. z Warki.

Kobiety spiskie sprowadzają w wielkich ilościach wełnę z Czechosłowacji a że zapotrzebowanie jest ogólne, bo górale noszą ubrania wyłącznie z domowego sukna, zabrałyby teraz i w przyszłości cały zapas. Prosimy o podanie ceny wełny czystej, gremplowanej z workami i dostawą do stacji kolejowej. Gdybyśmy mogły nawiązać korespondencję wprost, zyskałybyśmy na czasie, bo obecnie jest pora przędzenia. Aders nasz Spisko — Orawa, szkoła zawodowa w Jurgowie na Spiszu.